WIMBP im. J.

Łódź
Odgłosy

Nr 2 (1687)
Rok (XXXIV)
2 czerwca 1991 r.
Cena 3000 zł

W numerze m.in.:

◆ O uwłaszczeniu nomenklatury str. 4

◆ Reportaż z „NIE" J. Urbana str. 5

◆ Proces łódzkich policjantów str. 6

◆ Wspomnienie o J. Kosińskim str. 8

◆ Podarunek od Chruszczowa str. 11

◆ Uwaga! W następnym numerze specjalnie dla „Odgłosów" Anatolij Kaszpirowski i Jacek Wójcicki!

Rozmowa z Jerzym Urbanem

Lubię dołożyć

– Powiedział Pan kiedyś, że jest profesjonalistą w dziennikarstwie, natomiast nie jest fachowcem w polityce. Czy czuje się Pan homo politicus?

– O tak.Od piętnastego roku życia zajmuję się polityką i to jest moim głównym zainteresowaniem, wobec tego jestem typowym homo politicus. Tym mianem określa się człowieka, który przejmuje się polityką, ale niekoniecznie jest politykiem. Ja przez całe życie byłem na ogół kibicem. W kuchni politycznej siedziałem około 10 lat, ale polityka jest tak złożoną sferą ludzkiej działalności, że to wcale nie był dostatecznie długi okres, by zrozumieć wszystkie mechanizmy władzy i ich się nauczyć. W większym stopniu jestem zawodowym dziennikarzem niż zawodowym politykiem. Natomiast w dobie, kiedy rządzą politycy bardzo świeżego chowu lub też dyletanci polityczni, bardziej niż kiedykolwiek przedtem czuję się fachowcem.

– W każdej epoce władcy potrzebują m.in. kapłanów, dziejopisów, doradców, ale też i błaznów, którzy pod czapką z dzwoneczkami chowają mądre głowy komentatorów tego, co się dzieje. Czy czuje się Pan współczesnym Stańczykiem?

– Należę do typowych błaznów. Nie każdy błazen jest jednak mędrcem, ja na pewno nim się nie czuję. Natomiast tygodnik NIE, który jest typowym błazeńskim sposobem uprawiania polityki, pokazuje walory takiego rodzaju myślenia jako nieodzownego przeciwieństwa władzy kapłańskiej, którą dziś zaczynamy mieć w sensie dosłownym. Pismo bezczelnie opozycyjne jest szczególnie potrzebne w demokracji, bo demokracja oznacza zależność polityka od społecznej przeciętnej. Kto startuje do wyborów, musi działać w sposób podobający się większości. Władza, która ma społeczną aprobatę, jest wybrana w wolnych wyborach, zaczyna czuć się za dobrze, korzysta z lojalistycznych przyzwyczajeń poprzedniej epoki dziennikarzy, urzędników, całego aparatu. Takie zjawiska jak arogancja, korupcja, dyletantyzm przejawiają się obecnie ze szczególną siłą, dlatego ostre i bezczelne pismo jest bardzo potrzebne. Mimo lekceważącego stosunku do nas, ludzie sprawujący władzę obawiają się, że wywleczemy prywatę, nieprawość, skandal i że już nie uda im się tego zatuszować.

– Będąc rzecznikiem rządu uznał Pan tamten okres za najciekawszą część życia. Czy coś zmieniło się od tamtej pory?

– Tak, bo dziś obecny okres uznałbym za najciekawszy. Może podobnie będzie i z następnymi. Nie ma w tym żadnej sprzeczności, tak reaguje każdy człowiek zadowolony z życia.

– Nie należał Pan do żadnej partii. Które z obecnie istniejących ugrupowań jest Panu najbliższe? Dlaczego nie zakłada Pan własnej partii?

– Obecnie należę do Socjaldemokracji, co nie wyklucza zamiaru założenia według wszelkich reguł prawnych własnej partii ÔNieß. Byłaby to partia żartobliwa, tej klasy co Partia Przyjaciół Piwa. Spontanicznym, najprostszym sposobem politykowania przeciętnego człowieka w Polsce jest krytyka, sprzeciw wobec wielu rzeczy, dlatego partia, której ideologia ograniczałaby się do słowa Ônieß może okazać się bardzo popularna, odpowiadająca szerokim politycznym nastrojom.

– Czy byłby Pan lepszym parlamentarzystą niż rywal, który Pana pokonał w wyborach i czy zamierza Pan powtórnie kandydować?

– Z całą pewnością byłbym lepszy niż pan Łapicki, ale powiem niegrzecznie nie jest to wielka sztuka. Myślę, że byłbym lepszym parlamentarzystą od wielu wybitniejszych ludzi niż mój rywal. Mam zdolność logicznego myślenia, duże obycie w sprawach prawnych, ekonomicznych i politycznych, mam wytrenowaną swobodę słowa, ale nie zamierzam startować w wyborach. Być może miałbym szansę, ponieważ bardzo wzmaga się moja popularność i nastrój sympatii wokół mojej osoby. Nie mam czasu ani ochoty, żeby poddawać się próbie wyborczej, ani żeby pracować w parlamencie. Rola polityczna redaktora niezależnego pisma jest inna niż człowieka, który zabiega o wybór o wiele potrzebniejsza, bardziej satysfakcjonująca, bowiem niezależność jest wielką przyjemnością życiową. Ja już byłem politykiem, rola posła mi nie imponuje. W moim wyobrażeniu nie jest żadną karierą i nie jest mi potrzebna ze względów prestiżowych.

–Co by Pan odpowiedział na propozycję objęcia stanowiska rzecznika prasowego prezydenta?

– Takiej sytuacji nie można sobie wyobrazić, jest to pomysł nie mający zastosowania w życiu publicznym. Z przeciwnikiem politycznym można się układać, w pewnych warunkach zawiązywać sojusz, tworzyć rząd, ale nie można go nigdy przybierać sobie na rzecznika, bo jest to intymny pomocnik swego szefa. Nigdy bym nie został rzecznikiem Wałęsy ani kogokolwiek z obozu ÔSolidarnościß, który zwalczałem.

– Pomówmy teraz o Jerzym Urbanie prywatnie. Urodził się Pan w Łodzi jakie wspomnienia wiążą Pana z naszym miastem?

– Wyjechałem z Łodzi na rok przed maturą byłem tym bardzo zrozpaczony, wpadłem w depresję. Po przyjeździe do Warszawy nie miałem żadnych układów, a co za tym idzie stanowisk i władzy. W Łodzi zostali koledzy, panienki i pozycja czynnego działacza ZMP, uznałem więc, że świat się skończył i że już mnie nic w życiu nie czeka.

– Przez całe życie idzie Pan pod prąd. Czy jest to Pańska cecha charakteru, czy sposób publicznej autoprezentacji?

– Myślę, że to cecha charakteru. Już od dziecka miałem silnie rozwinięty instynkt przekory, ale postarałem się tę naturalną cechę w racjonalny sposób wykorzystywać na swoją korzyść, przede wszystkim w dziedzinie pisania. Zbudowałem następującą formułę: nie warto pisać czegokolwiek, gdy ma się do powiedzenia rzeczy

cd. str. 5

KAPITOL FIRMA

Salon Sprzedaży Firmy "KAPITOL"
oferuje

- importowane:
  - zestawy mebli wypoczynkowych ze skóry
  - ławy i artykuły wyposażenia wnętrz
  - stojaki konfekcyjne (stander)
  - zamki błyskawiczne
- konfekcję damską i męską
- bieliznę i wyroby pończosznicze
- wyroby kaletnicze:
  - torby skórzane
  - torby turystyczne
  - plecaki szkolne i turystyczne

Firma prowadzi również sprzedaż hurtową

90-005 Łódź, ul. J.Tuwima 22/26
tel. 36-51-61, 33-11-39, 32-73-32

Dwa radiowozy na całe nocne Śródmieście!!!

Uliczna wojna czy prowokacja?

Trudno jednoznacznie zainterpretować wydarzenia, które bulwersują od 21 maja środowiska łódzkich taksówkarzy. Trudno też odtworzyć przebieg zdarzeń.

– Około godziny drugiej, w nocy z 20 na 21 maja jechałem ulicą Zieloną do postoju przy ul. Zachodniej – relacjonował młody łódzki taksówkarz, od którego (najprawdopodobniej) wszystko się zaczęło. *– Na ulicy toczyła się jakaś bójka. W pewnej chwili jeden z jej uczestników został dosłownie wrzucony pod koła pojazdu! Zdążyłem się zatrzymać, wyskoczyłem z samochodu i wtedy podbiegł jakiś mężczyzna i zaczął mnie bić. Dobiegłem do kolegi, stojącego na postoju i przez zainstalowaną w jego wozie aparaturę CB-radio wezwałem na pomc policję.*

Ta się jednak nie śpieszyła z interwencją.

– Tej nocy na dziewiątym, ratunkowym kanale było aż gęsto od wezwań pomocy, kierowanych do policji, – relacjonował inny kierowca. *– Ja usłyszałem o wydarzeniach będąc na Teofilowie. Zdążyłem przyjechać do centrum, a policji jeszcze nie było. Trwała natomiast szarpanina i bójka. Napastnicy używali między innymi desek. Jedną z nich zostałem uderzony w plecy. Miałem szczęście, gdyby napastnik trafił w tył głowy, policja miałaby zapewne do rozwiązania przypadek zabójstwa...*

Jak twierdzą taksówkarze, policjanci przyjechali dopiero po godzinie, byli jednak bezradni wobec agresywnie zachowujących się ludzi. Pozwalali sobą szarpać za mundury – jeszcze przed kilku laty to było nie do pomyślenia! Taksówkarze zarzucają również policjantom, że biernie przyglądali się, jak pojazdy są rozbijane.

– Jest widoczna anarchizacja życia, co byśmy nie powiedzieli, skomentował to komendant Rejonowy Policji Łódź-Śródmieście podinspektor **Tadeusz Matysiak**. – Prosty policjant, interweniując ma na względzie ostatnie informacje łódzkiej telewizji, jednostronnie opisujące wydarzenia na ul. Kolumny, podczas których

cd. str. 6

ZAKŁAD USŁUG AUDIO – VIDEO

KTV-SERVICE

93-252 Łódź, ul. Felińskiego 9 (Dąbrowa)
tel. 43-41-39

Naprawa OTV czarnobiałych i kolorowych na gwarancji i odpłatnych, produkcji krajowej i z importu.

- montaż dekoderów PAL do OTVC
- elektroniczne rozszerzenie programów w OTVC Helios, Neptun do 29 kanałów z możliwością sterowania pilotem z funkcją do telegazety
- montaż modułu telegazety
- szeroki asortyment kineskopów (zamiast kolorowych 20" radzieckich – polskie)

KRÓTKIE TERMINY – FACHOWA OBSŁUGA
Zapraszamy w godz. 10.00 – 18.00

●22 maja w całym kraju odbyła się akcja protestacyjna NSZZ „Solidarność". Protestowano w różny sposób. **W Łodzi** Zarząd Regionu NSZZ „Solidarność" Ziemi Łódzkiej zorganizował wiec na placu Wolności. Na transparentach widniały hasła: „Nie chcemy cudów, lecz zdrowego rozsądku od naszego (?!) rządu". „Koniec ochrony rządu", „Balcerowicz u pogoda dla bogaczy", „Do Europy po ludzku". Przemawiał **Andrzej Słowik**.

W Piotrkowie Trybunalskim delegacja komisji zakładowych NSZZ „Solidarność" udała się pod gmach Urzędu Wojewódzkiego. Tam, przy dźwiękach syreny, wręczono wojewodzie „Stanowisko w sprawie sytuacji społeczno- gospodarczej". Domagano się między innymi odwołania ministra przemysłu Andrzeja Zawiślaka, posła na którego piotrkowianie głosowali w 1989 r.

W **Sieradzu** w samo południe włączono syreny. W wielu zakładach na godzinę przerwano pracę.

W **Skierniewicach** pozostawiono komisjom zakładowym NSZZ „Solidarność" wolną rękę w wyborze formy protestu. W niektórych przedsiębiorstwach wywieszono flagi i plakaty.

●W kwietniu 1991 roku CBOS przeprowadził badania uznania społecznego dla różnych instytucji państwowych. Aprobata dla rządu była o 9 procent wyższa od poprzednich badań i rząd znalazł się na pierwszym miejscu wśród badanych instytucji.

●**Sławomir Pietras**, lat 47, dyrektor Teatru Wielkiego w Łodzi i od dwóch lat równocześnie szef Opery Wrocławskiej, otrzymał propozycję objęcia Teatru Wielkiego w Warszawie. Propozycję przyjął i od nowego sezonu nie będzie już dyrektorem opery ani w Łodzi, ani we Wrocławiu. W Łodzi szefował scenie operowej przez 10 lat.

Ministerstwo Kultury i Sztuki zorganizowało konkurs na stanowisko dyrektora Teatru Wielkiego w Warszawie. Wpłynęły 4 zgłoszenia. Komisja pod przewodnictwem wiceministra **Grzegorza Michalskiego** z udziałem **Krzysztofa Pendereckiego i Andrzeja Hiolskiego** odrzuciła wszystkie kandydatury. Sławomir Pietras nie brał udziału w konkursie. Nazwisk kandydatów nie ujawniono. Sławomir Pietras był laureatem nagrody „Odgłosów". Gratulujemy!

●W Łodzi spotkali się przedstawiciele sejmików samorządowych z 5 województw, które swoim zasięgiem obejmuje Okręgowa Izba Lekarska. Stwierdzono, że w IV kwartale 1991 roku może nastąpić zawieszenie lub całkowite wstrzymanie świadczenia usług medycznych. Ustalono, że następne spotkanie odbędzie się 11 czerwca i wówczas zebrani opracują stanowisko w sprawie sytuacji w lecznictwie, które skierują do rządu. Może to jednak nie mieć większego znaczenia, bowiem minister zdrowia **Władysław Sidorowicz** jest innego zdania. W wywiadzie dla tygodnika „Wprost" (nr 21) powiedział – „Najgłębsza zapaść jest chyba za nami i wydaje się, że jednak łapiemy równowagę. Czy okaże się ona trwała, zależy od zastrzyków kredytowych z zagranicy". Chorym pozostaje czekać!

●20 maja minęło 70 lat od urodzin **Karla Dedeciusa**. Urodził się w Łodzi, tu ukończył Gimnazjum im. Stefana Żeromskiego. Więzów z Łodzią nie zerwał. Jest doktorem honoris causa Uniwersytetu Łódzkiego. Założył i prowadzi Deutsches-Polen Institut. Jest tłumaczem na język niemiecki prozy i poezji polskich pisarzy. Z okazji 70. urodzin życzenia wysłał prezydent **Grzegorz Palka**. Fundacja Roberta Boscha, która utrzymuje Deutsches-Polen Institut, zaprosiła 10 polskich bibliofilów do Darmstadt, gdzie mieszka i pracuje Karl Dedecius. Wśród zaproszonych jest dwóch łodzian: **Grzegorz Matuszak i Mirosław Borusiewicz.**

●Dopiero 21 maja zaczęto w Łodzi wypłacać nauczycielom zaległe pieniądze za przepracowane godziny nadliczbowe. Nie jest wykluczone, że sytuacja taka może się powtórzyć.

B. M.

Odgłosy

Tygodnik „Odgłosy"
Radaktor naczelny Mirosław Kuliś
Wydawca: „Odgłosy-Press" S.C.
90-113 Łódź ul. Sienkiewicza 3/5
☎36-52-44
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń. Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

Jak zostać harcownikiem?

IV Rzeczpospolita tworzy nowe instytucje i powołuje nowych patronów. Wprowadza nie znane dotąd, albo już od dawna zapomniane, obyczaje. Nie przypadkiem kilka oficyn wznowiło *„Polski kodeks honorowy"* Boziewicza: na rautach, balach dobroczynnych i rewiach kawaleryjskich trzeba wiedzieć, kto jest albo nie jest *„człowiekiem honorowym"*, należy rozróżniać *„obrazę pierwszego stopnia"* od *„bardzo ciężkiej zniewagi"* itd. Tym bardziej, że taka wiedza obecnie jest konieczna. Gazety odbywały kiedyś specjalne kolegia redakcyjne, zanim kogoś piastującego byle jaki urząd u siebie wymieniły. Teraz włóczą po łamach każdego, nie wyłączając samego Pana Prezydenta. Odwołujmy się zatem do Boziewicza, wszakże autor *„zniewagi popełnione drukiem"* zalicza do najcięższych. (Notabene, ktoś niezwłocznie powinien uzupełnić *„Polski kodeks honorowy"* rozdziałem o zniewagach telewizyjnych. Ireneusz Sekuła nie musiałby ciągać po sądach Jacka Maziarskiego!)

Zdaje się wracać też użyteczność harcowników, czyli wojowników, którzy nim dojdzie do rozstrzygającej bitwy staczają pojedyncze potyczki przed frontem zgromadzonych armii. Ta bitwa, to rzecz jasna, jesienne wybory, które rzeczywiście zapowiadają się na ogromne widowisko, jakiego jeszcze Rzeczpospolita bodaj nie widziała.

Harcownicy rozmiękczają przeciwnika, ostrzą argumenty i ćwiczą hasła. Wielu z nich po zwycięskich potyczkach obejmie szarże dowódcze. Zatem wraz ze zbliżaniem się terminu wyborów będzie rosła liczba nieustraszonych, będzie lała się krew, a rozemocjonowani widzowie nie nadążą oczami za błyskiem sztychów i cięć.

Jakie cechy powinien posiadać wzorowy harcownik? Otóż przede wszystkim powinien mieć krótką pamięć albo jeszcze lepiej gdyby cierpiał na jej zanik. W pojedynkach na argumenty fakty są drugorzędne, a pamięć o nich całkiem zbędna. Jeśli np. jesteś przeciwnikiem Mazowieckiego, nie znosisz tych mądrali od Michnika i Kuronia, popadnij w amnezję i przypisz wszelkie sukcesy w polityce zagranicznej i w rozmowach ekonomicznych Bieleckiemu i Wałęsie. Zapomnij o Balcerowiczu i Skubiszewskim. Weź przykład z harców Pana Posła, który w „Gazecie Wspólnej" taki sztych zadaje: *„Ekipa rządowa uformowana po odejściu rządu Tadeusza Mazowieckiego odnotowała kilka sukcesów bardzo poważnych: umorzenie około połowy polskiego zadłużenia i zapowiedź dalszych redukcji tegoż, zniesienie wiz do wielu krajów Europy Zachodniej, rozpoczęcie wycofywania wojsk sowieckich, eksport żywności przy całkowitym zaopatrzeniu rynku, ogólna stabilizacja"*. Innymi słowy przypisuj sobie sukcesy przeciwnika, a o własnych porażkach ani mru-mru: pamiętasz wszak Zagłobę jak „usiekł" Burłaja i „zdobył" turecki sztandar?

Waląc na odlew i gdzie popadnie w drugiej ręce trzymaj krzyż i krzycz, że walczysz w imię etosu chrześcijańskiego i nauki społecznej Jana Pawła II. Ten drugi argument stosuj ostrożniej, bo oto może się okazać, że twój przeciwnik, nawet jeśli okaże się nim Leszek Miller, też będzie parował ostrze z encyklikami o nauce społecznej kościoła w dłoni.

Wtedy nie pozostaje nic innego, jak wyjąć zza pazuchy transparent z napisem „Bij komucha" i wywijać nim tak energicznie, aby ten czerwony pająk nie zdążył wyjąć z czarnej – oczywiście – teczki „Nowych Dróg" z twoim artykułem o świetlanej przyszłości socjalizmu i nieprzemijających zasługach towarzysza Breżniewa.

Jeśli jednakowoż ów zdrajca najświętszych ideałów zdoła organ KC wydobyć albo zacznie kwilić o grubej kresce, o Magdalence i demokracji, wtedy musisz się zebrać w sobie i bez pardonu wdeptać go w ziemię. Potem poproś swojego rzecznika prasowego, aby mówił o konsolidacji wrażych sił postkomunizmu, o tym jak znów podnosi głowę czerwona hydra i grozi ubeckim terrorem. Gdy zapyta ktoś twojego rzecznika: „No dobrze, hydra hydrą, ale dlaczego tak rzadko w Łodzi jeżdżą tramwaje, a na autobus czeka się w nieskończoność?" wtedy podpowiedz, że oto zanotowaliście kolejne sukcesy, przegłosowaliście trzysta uchwał, a spółki nomenklaturowe doprowadziły kraj do ruiny. Pytający tak się przejmie tym argumentem, że już nie zgłosi wątpliwości, czy to wypada, aby od alei Piłsudskiego odchodziła ulica Sępia.

W tych harcach przydałby się najbardziej taki „materiał", w którym w sposób przekonujący – jak u Ludluma i Forsyte'a – byliby przedstawieni jacyś „krępi faceci w plastikowych płaszczach przeciwdeszczowych" (to oczywiście „wyżsi oficerowie komunistycznych służb specjalnych"), którzy potajemnie, po naradzie w „starym klasztorze", założyli „piątą międzynarodówkę", czyli „cynicznie kapitalistyczną, międzynarodową korporację" (superspółkę nomenklaturową!) o kapitale liczonym w dziesiątkach miliardów dolarów, aby zagarnąć ekonomiczną władzę w dawnych demoludach. Jak ? Przecież to oczywiste! Przy pomocy Stana Tymińskiego.

Grzegorz Gazda

Drugi skok w kapitalizm?

Od 17 miesięcy najważniejszą postacią sceny politycznej jest Leszek Balcerowicz. Im dłużej kieruje on sprawami gospodarki, tym częściej jest krytykowany, choć jednocześnie nie maleje grono jego zaprzysięgłych zwolenników. Jedni i drudzy odmieniają przez wszystkie przypadki główne dzieło wicepremiera – „plan Balcerowicza". O nim samym, o twórcy tego planu wiadomo niewiele, gdyż unika rozgłosu. Poznańskie „Wprost" (nr 21) zdołało jednak dowiedzieć się nieco szczegółów z jego życia prywatnego i upodobań:

„Dla rozrywki czyta kryminały i powieści historyczne, bardzo lubi kino – zwłaszcza filmy sensacyjne i westerny, ma słabość do wonnych, mocno przyprawionych potraw kuchni azjatyckiej. (...) Były sportowiec i rekordzista Polski juniorów w biegu na 3000 metrów codziennie się gimnastykuje i trasę Urząd Rady Ministrów – Ministerstwo Finansów pokonuje w 23 minuty. Marszobiegiem, wstępując po drodze do wszystkich sklepów, aby zerknąć na ceny. Nie pali i prawie nie pije; podczas szczególnie nerwowych posiedzeń rządu jesienią 1989 r. zaczął trochę popalać, ale potem powiedział – dość. Dziś, za sprawą Balcerowicza, „na rządzie" obowiązuje zakaz palenia. W poprzedniej ekipie nie mógł tego przeforsować, palił sam Mazowiecki, a o wymuszeniu na Jacku Kuroniu ustępstw w sprawie papierosów nawet on nie mógł marzyć".

Czego obawia się w życiu prywatnym Balcerowicz? Okazuje się, że najbardziej obawia się posądzenia o nadużywanie przywilejów:

„Premier uparcie odmawia przysługującej mu służbowej lancii, nie przeniósł się do lepszej dzielnicy. Mieszka jak dawniej na odległym Bródnie, zajmując z żoną i dwójką dzieci trzypokojowe mieszkanie w dziesięciopiętrowym wieżowcu. Jest pierwszym premierem, który zrezygnował z jadania obiadów w zaciszu własnego gabinetu – zbiega do bufetu i ustawia się w kolejce, co peszy szeregowych pracowników URM. Często oszukuje głód zapiekankami kupowanymi po drodze do Ministerstwa Finansów".

Przyznajmy, iż jest to portret całkiem sympatyczny, jak na polityka, który jest odbieany przez ogół jako zimny i raczej nieprzystępny. Jerzy Baczyński w „Polityce" (nr 21), oceniając rezultaty niedawnej narady ekonomicznej w Belwederze, przedstawia z kolei Balcerowicza jako skutecznego stratega:

„Jedynym zwycięzcą tej potyczki, jeśli użyć terminologii wojennej, jest Leszek Balcerowicz. Przeciwnicy wyraźnie nie docenili wicepremiera. Spodziewali się dogmatycznej obrony z okopów, tymczasem ekipa rządowa przeprowadziła atak wyprzedzający, przedstawiając w przeddzień narady własny program korekt polityki ekonomicznej i dokonując dewaluacji złotego. Artyleria przeciwnika nagle utraciła główne cele, oddając parę strzałów na wiwat, a parę we własne szeregi".

W sumie więc – sukces rządu? Przejściowo, owszem, odpowiada dziennikarz „Polityki":

„Jeszcze 2 – 3 tygodnie temu wydawać się mogło, że ekipa L. Balcerowicza nie wyjdzie cało z tej opresji. Komplikująca się sytuacja gospodarcza, zwłaszcza zaś kryzys finansów publicznych, niemal każdego dnia dostarczały materiału wybuchowego. Znaleźli się chętni, którzy z tego materiału postanowili wyprodukować miny. Właśnie narada u prezydenta miała podpalić lont, a przewidziana na ten tydzień ogólnokrajowa akcja protestacyjna „Solidarności" oraz debata sejmowa na tematy gospodarcze – powinny były dokończyć destrukcji „planu Balcerowicza". Dziś największe miny zdają się rozbrojone".

Artykuł w „Polityce" pisany był bezpośrednio po naradzie, ale jeszcze przed najnowszą falą strajków, m.in. komunikacji i zakładów dawnego COP-u. Mina „belwederska" nie była, jak się okazuje, ostatnią dla rządu. Sytuacja staje się bowiem coraz poważniejsza, przyznają to wszyscy, również „Polityka":

„Początek 1991 roku przyniósł załamanie rynku radzieckiego, sztywny kurs dolara podważył opłacalność eksportu na Zachód, pojawiła się masowa konkurencja towarów importowanych, jednocześnie spadł popyt wewnętrzny hamowany popiwkiem. Wreszcie doszło do sytuacji, o której mógł marzyć wicepremier: rzeczywistość przystawiła przedsiębiorstwom pistolet do głowy. Zamiast jednak podejmować próby samoobrony, zagrożone przedsiębiorstwa ujawniły reakcje samobójcze. Z nielicznymi wyjątkami, zaczęły gotować się do upadłości".

I konkluzja:

„Plan Balcerowicza zatrzymał się przed bramą przedsiębiorstwa".

Co zatem robić? I na to pytanie ma już przygotowaną odpowiedź Balcerowicz. „Trzeba ruszyć sektor państwowy" – mówi teraz wicepremier, przedstawiając nowy program przyśpieszenia zmian w gospodarce. Oto, jak referuje go „Gazeta Wyborcza" (nr 118):

„Opasłe „Zamierzenia rządu" zawierają rzeczywiście rewelacje: już za pół roku sektor państwowy nie będzie dominować w naszej gospodarce. Oczywiście tak się stanie, jeżeli uda się wprowadzić w życie... Rząd przystępuje więc do ofensywy gospodarczej, którą już raz nazwaliśmy „skokiem w kapitalizm".

Przechodząc do szczegółów „Zamierzeń", „Gazeta Wyborcza" wymienia m.in. pięć scenariuszy prywatyzacji zakładów uspołecznionych. Zostaną one podzielone na pięć grup: państwowe „na trwałe", przekształcane w jednoosobową spółkę skarbu państwa tak jak dotychczas (a następnie prywatyzowane), komercjalizowane na podstawie decyzji premiera (ten typ przekształceń objąć ma w tym roku – uwaga! – aż 700 dużych przedsiębiorstw!), przeznaczone do oddania w dzierżawę oraz przeznaczone do „likwidacji prywatyzacyjnej".

Przeprowadzenie powyższych „Zamierzeń" wydaje się grozić już nie jedną miną, ale całym polem minowym dla rządu. Czy rząd i wicepremier to wytrzymają? Ważniejsze wydaje się teraz pytanie, czy wytrzymamy to my wszyscy, polskie społeczeństwo...

AG

Redakcja przeprasza Czytelników za błędy, jakie znalazły się w 1 numerze „Odgłosów". Informujemy, że drugi numer będzie już składany w kraju, co pozwoli na ich uniknięcie w przyszłości.

Rozważania na marginesie rocznej działalności Fundacji Ulicy Piotrkowskiej (1)

Łódź – Atlantyda dla bogatych?

Roczny okres działalności Fundacji Ulicy Piotrkowskiej przyniósł wiele dokonań i inicjatyw społecznie sensownych. Był to również rok walki o przetrwanie Fundacji jako przedsiębiorstwa. Był to rok, który doprowadził w końcu Fundację do rozważania decyzji o zamrożeniu jej działalności.

Dlaczego tak się stało?

Próba odpowiedzi na to pytanie ujawni grozę sytuacji w jakiej tkwimy obecnie my, łodzianie.

TŁO DZIAŁANIA:

1.Kraj

Parlament i oba demokratyczne rządy łączy jedna wspólna cecha: niewiara w samorządność lokalną.

Prowadzi to do programowego centralizmu władzy.

Fundacje w swojej istocie to najprostszy i najefektywniejszy sposób wydatkowania społecznych pieniędzy na społeczne cele. W ustabilizowanych społeczeństwach zajmują istotne miejsce, bowiem owe przysłowiowe 10% dochodów „urywają" z budżetu państwa i przeznaczają je na dowolny cel np. oświatę, kulturę, lecznictwo itp. Rząd traci 10%, ale jednocześnie ma „z głowy" jakąś część problemów. Pieniądz odbywa najkrótszą drogę a więc najmniej traci na wartości.

Większość fundacji na świecie to organizacje lokalne albo specjalistyczne. Pieniądz jest więc wydawany precyzyjnie i efektywnie. A rząd nie musi uruchamiać procesu do jego obsługi. Procesu, bo na tzw. „Zachodzie", w przeciwieństwie do Polski, nie ma urzędników, którzy znają się na wszystkim i są odpowiedzialni za wszystko. By opisany mechanizm usprawnić i ułatwić, fundacje mają wiele ulg podatkowych i wykonawczych. Krótko mówiąc jest to system szanowany i sprawdzony.

Polska jednak kroczy własną drogą i opisany wyżej proceder parlament i rząd uznał za zbędny albo wręcz przestępczy. Prawo finansowe karze darczyńców zabierając 60% darowizny, ostatnia poprawka do ustawy o fundacjach zmniejszyła prawie do zera wyjątkowość tych organizacji, a funkcjonujące od kilku dni przepisy wykonawcze Ministerstwa Finansów obecnego rządu zniosły wszystkie dokładnie ulgi podatkowe dla fundacji.

Godna podziwu ciągłość rządzenia. Bowiem jesienią roku 1990 podczas spotkania przedstawicieli Fundacji Kultury z reprezentantami ówczesnego rządu (Siła Spokoju) pan z Ministerstwa Finansów, ubrany w luźny sweter wręcz określił fundacje jako instytucje złodziejskie.

Inny Pan zapytany czy w pracach nad ustawą o fundacjach uczestniczy jakikolwiek przedstawiciel którejkolwiek fundacji oznajmił, że nie widzi takiej potrzeby. Nie widział również potrzeby rozeznania w ustawodawstwie i systemach funkcjonowania fundacji w krajach o dużych tradycjach w tej dziedzinie.

Taki system rządzenia ma jeszcze dłuższą ciągłość w naszym kraju. Po co więc zakładać fundacje?

Po to, że są to instytucje łączące w jednym ciele ekonomię i np. kulturę. Wymyślone właśnie po to, by rozwiązywać problemy leżące na styku tych obszarów. Są to również ciała społeczne.

Prawo (także nasze) jednoznacznie reguluje tę sprawę i ułatwia kontrolę społeczną nad działalnością fundacji. Są więc fundacje rzeczywistym narzędziem wykonawczym demokracji.

2.Nasze miasto Łódź.

Żyje kilkadziesiąt osób w Łodzi (oprócz tych w Fundacji Ulicy Piotrkowskiej), które kochają to miasto. Doceniają jego wyjątkowość i chciałyby przywrócić mu dawną rangę i świetność (np. z roku 1898). Dużą część tej grupy stanowi z pewnością Zarząd Miasta i radni zrzeszeni w Radzie Miejskiej.

Powszechnie wiadomo również, że gdyby miasto uzyskało standard np. Monachium czy Paryża wzrósłby znacznie patriotyzm lokalny, a wspomniana grupa osób powiększyłaby się może do tysiąca (w tym nadal Rada Miejska i Zarząd).

Ale odkładając sentymentalizm, trzeba sobie powiedzieć, że:

TO MIASTO W CHWILI OBECNEJ JEST NIC NIEWARTE.

Ludność biedna, więc słaba siła nabywcza i inwestycyjna. Leży w środku kraju, z którego Międzynarodowy Fundusz Walutowy zrobił „wiejskiego głupka". W kraju, gdzie prawo świętość i zabezpieczenie w „normalnych" społeczeństwach jest tak niejednoznaczne, pogmatwane i sprzeczne, że nie tylko nie tworzy poczucia bezpieczeństwa dla jednostki i przedsiębiorstwa, ale jest wręcz mechanizmem lękotwórczym.

Jeżeli znajdzie się więc taki desperat (by nie powiedzieć szaleniec albo jeszcze gorzej), który chce tutaj i teraz zainwestować, postawić kamień na kamieniu, powinno się go po rękach całować.

Jednak są osoby w tym mieście, które uznały, że można wygrać pokera parą dwójek. Przyświeca im pewność, że Łódź jest mekką dla biznesu zagranicznego i krajowego. I temu biznesowi trzeba sprzedać drogo („żeby nie wyjść na głupiego"). A najlepiej bardzo drogo. Powszechnie wiadomo, że każdy biznesmen lubi kupić drogo, a sprzedać tanio. Poszła więc fama po świecie biznesu, że wyłoniła się Atlantyda dla bogatych. Atrakcyjniejsza od Hongkongu i Singapuru, ładniejsza od Wenecji i weselsza od Las Vegas. To „kochana szara Łódź". Fama jest uzupełniona drobną informacją, że trzeba spać w Warszawie, bo w „Mekce" nie ma normalnego hotelu.

Żarty więc na bok, bo zaczynają być ponure.

Nie popadajmy w przesadę, jest przecież nowa rzecz, którą stworzyły miłościwie nam panujące Rada i Zarząd to nazwy ulic. Jak na rok pracy całkiem sporo.

Jest jeszcze druga nowa rzecz, która powstała w mieście w ciągu ostatniego roku: to targowisko na rogu Pomorskiej i Kilińskiego, ale to dzieło nie Zarządu, lecz „jakiejś tam fundacji".

Polityka ma tę cechę, że do jej uprawiania nie można nikogo zmusić. Władzę może mieć tylko ten, kto jej chce. Nie ma więc władców „mimo woli", czyli niewinnych. Ale władza oprócz wielu przywilejów, zawiera także powinności. Jedną z podstawowych jest podejmowanie decyzji, a więc ryzyka, drugą ponoszenie odpowiedzialności za te decyzje. Unikanie jednego i drugiego do perfekcji opanowali decydenci minionej (?) epoki. Czy mamy ochotę na kontynuację tej tradycji?.

3.Intencje.

Zarząd i Rada Miasta oraz Fundacja to prawie rówieśnicy. Zarząd Fundacji udał się więc do nowo wybranych prezydentów, przedstawił się, wręczył statut i deklarację programową oraz zaprezentował swój sposób myślenia, był on taki: W tak trudnej sytuacji miasta, gdzie wszystko trzeba stworzyć od nowa, nie mając wzorców i sprawdzonych metod, chcemy wziąć na siebie rolę poligonu doświadczalnego. Chcemy budować, remontować i sprzedawać na Piotrkowskiej, a podatki wykorzystując status Fundacji przeznaczać na renowację ulicy i kolejne inwestycje. Przy takim systemie pieniądze nie uciekają do Warszawy, a zostają na Piotrkowskiej. Można oszczędzać realizując miejskie inwestycje poprzez Fundację. Będziemy też promować i propagować Piotrkowską, zbierać głosy społeczeństwa i profesjonalistów, i przedstawiać je władzom. Ale najbardziej chcemy być jedną z tych instytucji, które ożywiają życie inwestycyjne w mieście.

Oczekujemy pomocy w przeprowadzaniu naszych inicjatyw.

Dajcie nam w dzierżawę dwa trzy tereny budowlane w rejonie Piotrkowskiej, a my opracujemy ofertę deweloperską, znajdziemy kapitał i stworzymy wspólnie z miastem spółkę inwestycyjną, za dwa lata będą gotowe obiekty, ludzie będą z nich korzystać, miasto pobierać podatki od użytkowników i część zysków z funkcjonowania obiektów, a zysk z samej inwestycji wróci na Piotrkowską.

By dać gwarancje i usprawnić współpracę, Fundacja powierzyła jednemu z prezydentów miasta funkcję przewodniczącego Rady Fundacji.

Ta rozmowa odbyła się w końcu czerwca 1990 r. Od tamtego czasu odbyło się wiele spotkań. Zostało wysłanych do Zarządu Miasta wiele pism. Do dziś na żadne nie ma odpowiedzi.

Jakie to były spotkania i pisma, jak rozwijała się miłość Fundacji i władz w następnym odcinku pt. „FAKTY".

Marek Janiak

Głęboko ukryj wątpliwości!

Mickiewiczowski Sędzia mawiał, iż *„grzeczność nie jest nauką łatwą ani małą"* i jeśli spojrzeć na stan naszych obyczajów praktykowanych w życiu publicznym i prywatnym, przyznać należy zacnemu gospodarzowi Soplicowa rację, gdy wywodził, że *„trzeba się długo uczyć, ażeby nie zbłądzić"*. Widać i dawniej, i obecnie chęci do nauki mamy ograniczone, bo z grzecznością i dobrymi obyczajami krucho, osobliwie w polityce. Zauważył to nawet przebywający z dala od kraju, bo aż w USA Daniel Passent, pisząc: *„trudno oprzeć się wrażeniu, że walka polityczna zaostrza się, atmosfera staje się coraz bardziej gęsta od oskarżeń i wrogości, coraz trudniej oddychać powietrzem zatrutym nowymi kłamstwami i nową zawiścią"* („Polityka" nr 18).

Widać obyczaje są adekwatne do czasów, w jakich żyjemy, a ton podany przez dyrygenta podejmuje cała orkiestra i dalej gra już unisono. W życiu społecznym każdego z nas i całej naszej polskiej zbiorowości istotną rolę, tak jak w życiu wszystkich społeczeństw, odgrywają normy ustalające wzory funkcjonowania ludzi i instytucji. Najogólniej mówiąc obowiązujące wzory i normy zależą od postaw, jakie wobec nich ludzie przyjmują, a postawy te mogą być: konformistyczne, nonkonformistyczne, legalistyczne i przestępcze.

Konformizm to stara i dobrze znana metoda zachowywania się w grupie, polegająca na wyrażaniu zgody na obowiązujące normy, wzory, zasady i wartości. Mądrość ludowa ujmuje to dosadnie w przysłowiach, choćby takich jak: „kiedy wejdziesz między wrony, to kracz jak i ony" lub „nie zaprzeczaj, nie podskakuj, siedź na d... i potakuj". A zatem zrezygnuj z własnego zdania, zgódź się z tymi, którzy głośno krzyczą, że znają jedynie słuszną drogę, bo im rację przyznaje Opatrzność, prawo naturalne, prawidłowości historii antycypowane przez brodatego klasyka, wola większości albo po prostu siła.

Głęboko więc ukryj swoje wątpliwości i idź ze wszystkimi, na pochód lub na procesję, potępiaj imperialistów lub komunę, śpiewaj „Wyklęty powstań..." lub „Boże coś Polskę...", ale zawsze idź z większością. Konformista dobrze czuje się w tłumie, bo jemu potrzeba przywódców, którzy za niego będą myśleć i mówić, czasem nawet krzyczeć, a on się tylko przyłączy i swoje bezpieczeństwo będzie czerpał z tego, że jest taki sam jak inni.

Dawno już zauważono, że stopień konformizmu zależy od spodziewanej nagrody lub kary za postępowanie konformistyczne lub jego brak. Każdy więc system polityczny lubi i premiuje konformistów i choć systemy się zmieniają, to sama zasada gorliwego dopasowywania się do zmieniających się reguł ma się dobrze, a nawet bardzo dobrze. Aby się o tym przekonać wystarczy tylko otworzyć radioodbiornik, telewizor, sięgnąć po gazetę albo po prostu wyjść z domu i rozejrzeć się co robi wielu naszych rodaków.

Przeciwieństwem konformizmu jest postawa nonkonformistyczna, polegająca na intencjonalnym i jawnym nierespektowaniu obowiązujących norm społecznych, poglądów politycznych, obyczajów itp. To zasługą pokoleń nonkonformistów i buntowników, wszelkiej maści reformatorów, rewolucjonistów i kontestatorów nie godzących się na zastany przez nich porządek świata, jest wszelki rozwój i postęp społeczny. Jeśli nie odnosili zwycięstwa, trafiali do więzień, na gilotynę albo na stos, konformistyczny ogół piętnował ich jako szkodliwych dziwaków lub skazywał na odrzucenie i zapomnienie. Ale kiedy nonkonformiści zwyciężali, to choć zawsze stanowili niewielkie wysepki inności, szybko rosły rzesze ich zwolenników i wyznawców, bo oto nowe racje są górą i trzeba się do nich przyłączyć, siąść do uczty zwycięzców i skorzystać z beneficjów nowego porządku. Tak początkowy nonkonformizm rychło przeradzał się i wciąż przeradza w swoje własne zaprzeczenie.

Inną postawą jest legalizm, wyrażający się w uznawaniu norm obowiązującego prawa. To zwolennicy takiej właśnie postawy wymyślili zasadę, że prawa trzeba przestrzegać, bo choć może być ono twarde, może być „nie nasze", ale jest prawem. To oni głoszą ponadto, że złe prawo trzeba zmieniać, ale póki ono obowiązuje, nie wolno go omijać. Wzorem legalistów jest Sokrates, który nie skorzystał z szansy ucieczki i wybrał śmierć, na którą skazał go legalny sąd, bowiem szacunek dla obowiązującego prawa filozof cenił wyżej niż własne życie.

Dziś, gdy w telewizji docent prawa nawołuje, aby prawo omijać, bo pochodzi ono z okresu ancien regime'u i znajduje wielu chętnych naśladowców, to ze smutkiem przychodzi zadumać się nad nędzą konformistycznej demagogii i klasą starych filozofów.

Wreszcie ostatnim ze wskazanych typów postaw wobec obowiązujących norm jest postawa przestępcza. Jej istota polega na tym, że jednostki w konspiracyjnej formie i z wyraźną nadzieją na korzyść, naruszają obowiązujące normy prawne. Należy przy tym odróżniać nonkonformistę od przestępcy. Ten pierwszy podważając obowiązujący porządek nie ukrywa swego postępowania, a swojej dezaprobacie stara się nadać rozgłos i chce ulepszać lub radykalnie zmieniać zastany świat, a przestępca to, co uczyni, czyni potajemnie i dla zdobycia korzyści, przeważnie materialnych.

Wśród Polaków obecnie nietrudno wskazać wszystkie cztery postawy, ale jedna z nich wydaje się w życiu zbiorowym dominować. Można wręcz powiedzieć, że mamy sezon na konformizm, choć nigdy tak naprawdę nie wychodził on z mody i praktycznego stosowania. Najbardziej „noszony", tak jak tej wiosny minispódniczka wśród młodych i nieco starszych panienek, jest konformizm bogoojczyźniany z mocnymi dodatkami „walenia w czerwonych" jak to kiedyś na łamach *„Odgłosów"* z wdziękiem arbitra elegancji politycznej ujął jeden z łódzkich posłów.

Zdumiewa jak wielu w ciągu ostatnich dwóch lat urodziło się „przekonanych" zwolenników prawicy i „od zawsze" przeciwników „komuny". Jak wielu niewinnie cierpiało na pochodach 1 Majowych i jak wielu zadawało sobie męki odbierając tytuły, medale, nagrody i inne zaszczyty, kiedy u władzy byli „oni". Rodzą się jednak pytania: kiedy ci ludzie byli konformistami przed laty czy dziś? Kiedy postępowali wbrew sobie ongiś czy obecnie? A może po prostu to tylko jest objaw społecznej mimikry i wczorajsi konformiści, którzy są konformistami dziś, gdy znów zmieni się porządek życia zbiorowego i obowiązujące w nim reguły, będą konformistami jutro.

Jestem wyrozumiały dla ludzkich ułomności i słabości, podzielam wypowiedzianą kiedyś przez Antoniego Słonimskiego myśl, że tylko krowa nie zmienia poglądów i daleki jestem od potępiania lub ganienia konformistów. Ale przy okazji zanotowania tych kilku myśli, pozwalam sobie wszystkich PT Gorliwie Dopasowujących Się Do Panujących Porządków uprzejmie prosić: Panie i Panowie, prawdziwa elegancja polega na dyskrecji i braku ostentacji, a więc nie bądźcie tak nachalni w obnoszeniu się ze swym konformizmem, jeśli nie chcecie być dla jednych śmieszni, a dla innych żałośni. Gdyby ktoś mi nie chciał uwierzyć na słowo, że tak jest, gotów jestem służyć nazwiskami i adresami konkretnych osób.

A co będzie, gdy sezon, tak jak każdy sezon, na obecnie „noszone" poglądy się skończy? Oczywiście, Państwo dokonają stosownych przeróbek, coś się przenicuje, coś nowego dokupi, coś starego schowa na dno szafy i znów będzie tak jak trzeba. Różne mody się zmieniają, ale moda na konformizm wydaje się niezmienna, boć przecież konformizm niejedno ma imię i od pokoleń jest praktykowany.

Jan Wolborski

PREZENTACJE

Karol Głogowski

Prawnik. Polityk. W 1956 r. rozpoczął trzyletnią aplikację adwokacką. Od 1960 do 1964 roku praca w Zespole Adwokackim nr 1. W 1966 r. skreślony z listy adwokackiej. Przez 2 lata pozostawał bez pracy, później był urzędnikiem, radcą prawnym. Do adwokatury powrócił w 1981 r.

Działalność polityczną rozpoczął w 1956 roku. Założył Związek Wolnych Demokratów, zdelegalizowany w 1957 r. Powołał do życia Koło Samokształceniowe, które SB uznało za tajną organizację. Aresztowany w 1964 r. Wytoczono mu proces, który trwał 5 lat. Skazany został na rok więzienia.

W 1977 r. został członkiem ROPCiO, w 1980 r. członkiem NSZZ „Solidarność" Ziemi Łódzkiej, ekspertem podczas I Zjazdu „Solidarności". 13 grudnia 1981 r. internowany, więzienie w Łowiczu. Lider Ruchu Wolnych Demokratów, partii zarejestrowanej od listopada 1989 r.

Zamierzam wziąć udział w wyborach do parlamentu. Ale nie wiem, czy zdecydować się na udział w wyborach w jednomandatowym podokręgu, czy też z listy okręgowej. Wolałbym w podokręgu jednomandatowym, gdyż jest to suwerenny sposób zdobycia mandatu. Ordynacja jest tak skonstruowana, że w podokręgu trzeba zdobyć co najmniej 10 procent głosów, choć trzeba liczyć się z tym, że kandydatów będzie wielu. To niewątpliwie rozproszy głosy i można przegrać.

Można również zapytać, dlaczego decyduję się na kandydowanie do Sejmu RP, skoro poprzednio startowałem w wyborach do Senatu? W 1989 roku miało to uzasadnienie w ordynacji do Senatu, która miała charakter demokratyczny, natomiast do Sejmu nie. Wierność ideowym pryncypiom demokratycznym nakazywała mi w takiej sytuacji kandydować do Senatu. Obecnie uważam, że Senat, który został arbitralnie narzucony społeczeństwu jako druga izba Zgromadzenia Narodowego jest zupełnym anachronizmem. Gdybym dostał się do Sejmu, to głosowałbym przeciwko utrzymaniu Senatu. Byłbym natomiast za powołaniem drugiej izby Sejmu o charakterze samorządowo-gospodarczym, która mogłaby skutecznie konkretyzować istotne problemy i równoważyć dyskusję ogólnopolityczną, jaka przeważa w obecnym Sejmie.

Wybory będą się odbywały w złożonej sytuacji. Demokracja parlamentarna, jaka funkcjonuje na zachodzie Europy, opiera się na partiach. Wybory powinny więc sprzyjać kształtowaniu się partii jako naturalnego zaplecza parlamentu. Ale ponieważ w komunistycznym porządku tylko partie polityczne i organizacje były uprawione do udziału w wyborach, jesteśmy szczególnie wrażliwi na wszelkie formy kolektywnego działania. Również w 1989 roku szanse niezależnych kandydatów były minimalne, czego doświadczyłem na sobie.

Obecna ordynacja wyborcza, poprzez podokręgi jednomandatowe, stwarza szanse tak dla partii, jak i poszczególnych obywateli. Powstaje jednak pytanie, czy została zachowana zasada równości wobec prawa wszystkich podmiotów. Mam tu poważne wątpliwości. Dotyczy to na przykład zaliczania głosów oddanych w podokręgu na kandydatów z listy, przy podziale mandatów, tak w okręgu jak i na szczeblu ogólnokrajowym. Bardziej właściwe byłoby, by wszyscy posłowie byli wybierani w sposób bezpośredni, według tych samych zasad wyborczych.

Przyjęta w ordynacji koncepcja podziału mandatów rodzi niepokój, czy po wyborach nie powstaną wśród wyborców rozczarowania i czy ludzie nie poczują się oszukani, jeśli mandat otrzymają nie ci, na których oni głosowali.

Patrzeć na ręce

Rozmowa z inż. Januszem Fijałkowskim, biegłym Sądu Wojewódzkiego w Łodzi, dyplomowanym ekonomistą, kierownikiem Zespołu d/s Prywatyzacji przy Zarządzie Regionu „Solidarność" Ziemi Łódzkiej.

– Ustawa prywatyzacyjna, a raczej jej wykonanie, wzbudziła w społeczeństwie wiele emocji...

– ... bo w odczuciu społeczeństwa od początku była źle prowadzona. Ale po kolei. Wielu ekonomistów uważa, że metoda Balcerowicza nie jest najsłuszniejsza. Pomimo drastycznych metod, które doprowadziły do zubożenia społeczeństwa, nie powstrzymano de facto inflacji. Doprowadzono do niebywałego spadku produkcji, zamiast do równowagi rynkowej. Do takiego spustoszenia gospodarczego nie doprowadzili nawet okupanci w Polsce. Spadek produkcji w r. 1940 w stosunku do r. 1938 na terenach polskich wyniósł 18 proc., a za rządów Mazowieckiego 27 proc. lekko licząc. W takiej sytuacji cała degrengolada ekonomiczna została poparta ustawą o prywatyzacji. Ustawą tak skandaliczną, że ludzie łapią się za głowę. Kiedy mówi się ,że załogi w układach preferencyjnych mogą wykupić 20 proc. kapitału, to jest iluzja. Jeden zakład w całej Polsce zdołał zebrać te 20 proc. Zakłady Mięsne w Inowrocławiu. Samowola urzędnicza, samowola nowych decydentów spowodowała, że wyprzedaż majątku narodowego stała się hobby pewnych ludzi. Przecież ani żaden minister, żaden dyrektor ani rada pracownicza nie jest właścicielem powierzonego sobie majątku. Jest jedynie dysponentem zobowiązanym stać na straży interesów państwa i społeczeństwa. Tymczasem ci ludzie zaczęli sobie nagle przywłaszczać prawo własności i w związku z tym prawo rozdawnictwa majątku wypracowanego przez nas, przez społeczeństwo.

– Obwinia pan więc rząd Mazowieckiego. A co z nowym rządem?

– Bezwładność nowego rządu wynika z tego, że są to zupełnie nowi ludzie, którzy dopiero się rozpakowują. Pomijając Balcerowicza, który modyfikuje swoją politykę, ale robi to zbyt wolno. Sprawa prywatyzacji jest kwestią przesądzoną. Tylko, jeśli mówimy o przekazywaniu majątku, niech to się dzieje w sposób uczciwy. Znamy przypadki, że majątek wyceniany jest przez jakieś spółeczki konsultingowe na mniej niż wartość surowców leżących na placu czy gotowych kadłubów statków, jak to było w przypadku Stoczni Gdańskiej. „Zamech" został sprzedany przez 1-osobową spółkę skarbu państwa w 51 proc. firmie ABB. Nowa władza zaczyna jednak powoli patrzeć tym panom na ręce.

– I co dostrzega?

– Preferuje się u nas metody wycen, gdzie mówi się, że wartość majątku, którym ja dysponuję, zależy od tego, co ty, kupując ode mnie, z tym majątkiem zrobisz. Ta metoda jest powszechna w świecie zachodnim, gdzie są giełdy papierów wartościowych, akcje, gdzie o całym przedsiębiorstwie wiadomo, jakie ma układy, jakie kadry, jakie technologie, jaki poziom zbytu i tak dalej. Wtedy metoda przewidywanego zysku jest słuszna ekonomicznie. Przeniesienie jej żywcem na nasz grunt jest absurdalne. Bo jak wycenić tą metodą np. „Marchlewskiego", kiedy wiadomo, że przemysł upada, że produkcja, technologia, park maszynowy są przestarzałe? Idąc tropem przewidywania zysku dla kupującego, celowo mamy na to dowody doprowadzano przedsiębiorstwo do upadku, zrywano nici zamówień, dostaw, kooperacji. Wtedy już można powiedzieć, że przedsiębiorstwo nic nie jest warte. Natychmiast znajduje się dobry wujek z zagranicy i jeszcze paru cwaniaczków krajowych, którzy robią łaskę kupując nic niewarte zakłady.

– Jak wyglądają te nieuczciwe wyceny? Proszę podać jakiś konkretny przykład.

– Podam następujący przykład: w Skierniewickiem wyceniono na 5 mln zł sporą masarnię o zdolności przerobowej 10 t mięsa na dobę. Zajmowałem się tą sprawą z polecenia rządu. Transakcja została zrealizowana za 1,5 mln zł. Sprawdzam, dlaczego 5 mln, dlaczego 1,5? No, bo nie było chętnych na zakup. Gdzie było obowiązkowe w takich wypadkach ogłoszenie prasowe o sprzedaży? W prasie szczecińskiej, bo tam najszybciej. Kto wycenił na 5 mln? Rzeczoznawca taki to a taki. Szukam takiego rzeczoznawcy. Żaden sąd go nie zna. Ktoś mi podpowiedział: idź do cechu. Jest! Rzeczoznawca rzemiosł szewskich, taki, co decyduje o zasadności reklamacji dotyczących obuwia. On wycenił masarnię? Masarnia została zakupiona, zarejestrowana, zaczęła działać i dosłownie w następnym miesiącu została sprzedana za 1,2 mld zł. Oficjalnie w notariacie zapisano taką sumę. A za ile de facto, wie tylko dwóch: sprzedający i kupujący. A ile inni na tym zarobili?

– Co można na to poradzić?

– Robimy dochodzenia, ujawniamy takie mechanizmy, kierujemy wnioski do prokuratury, ale bezskutecznie. Prokuratura nie znajduje podstaw do wszczęcia postępowania! Głupota nie jest karana nigdzie w świecie, ale świadoma, zła działalność gospodarcza powinna być. Tymczasem na podstawie ustawy z czerwca 1990 r. z obowiązującym terminem do czerwca 1991 r. o ściganiu spółek nomenklaturowych o zafałszowanych wycenach w ogóle w Polsce wniesiono około 300 spraw na 25 tysięcy spółek nomenklaturowych. Prokuratura wszczęła działania w 12 przypadkach, a w 3 się je kontynuuje. Cała prokuratura ogólnopolska!!!

– Czy w Łodzi jest tak samo?

– W Łodzi wydano zarządzenie, że sąd ma prawo wglądu i sprawdzania wiarygodności dokumentów przedsiębiorstw, które podlegają rejestrowi sądowemu. Kiedy wnosi się aport spółki, sąd ma prawo weryfikować jego wielkość, bo bywały przypadki wręcz naigrawania się z prawa. Ta łódzka inicjatywa rozszerzyła się na Polskę i zaczęto weryfikować aporty. Odtwarza się również funkcję rewidentów sądowych do spraw gospodrczych, którzy w imieniu sądów kontrolują działalność już zarejestrowanych przedsiębiorstw.

– Przedsiębrane działania muszą prowadzić do rozliczenia nieuczciwych dyrektorów?

– Ale, kiedy NIK, prokuratura są postkomunistyczne, kiedy przypuszcza się ataki na młodych sędziów w łódzkim sądzie to widać kiedy nagle prokuratura składa doniesienia na sędziów do sądu, że to sędziowie dobierając się do takich spraw przekraczają swoje kompetencje o coś tutaj chodzi!

Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
Marek Koprowski

Z części PP „Polmozbyt" w Łodzi utworzono spółkę z o.o. *„Transpool"*, w której ma udział osoba z kierownictwa łódzkiego *„Polmozbytu"*. Jako aport *„Polmozbyt"* wnosi do *„Transpoolu"* stację obsługi samochodów przy ul. Targowej 22. Wycenę tej stacji przedstawiono na jednej karteczce formatu A-4 na sumę 408000000 zł. Wycenę wykonała Spółdzielnia *„Ortep"* i pobrała wynagrodzenie w wysokości 18 mln zł. Ponadto wg informacji Komisji Zakładowej „Solidarności" „Polmozbyt" sprzedał członkom spółdzielni *„Transpool"* 10 samochodów Hyunday po 19 mln zł, przy czym samochody te najpierw były fikcyjnie sprzedane, po czym fikcyjnie reklamowane i w ten sposób obniżono ich wartość.

Na zlecenie Sądu Rejonowego w Łodzi, postanowieniem z dnia 11.I.1991 r., sygn. akt H 2375/90, Jerzy Fijałkowski, biegły sądowy, wycenił stację przy ul. Targowej na 4 mld zł.

Prokuratura klepie biedę

Rozmowa z prokuratorem Prokuratury Wojewódzkiej w Łodzi Januszem Płóciennikiem

– Z tego, co się mówi, słyszy i czyta można wysnuć wniosek, że prokuratura jest obłożona sprawami związanymi ze źle, nieuczciwie przeprowadzaną prywatyzacją przedsiębiorstw.

– Wpłyneła do nas jedna taka sprawa, a dotyczy przekształceń własnośćiowych w łódzkim „Polmozbycie" i tę sprawę badamy.

– Stawiane są zarzuty, że prokuratura działa opieszale, nie wszczyna postępowań i w ogóle chroni tzw. spółki nomenklaturowe.

– Zlikwidowano prokuratorską kontrolę przestrzegania prawa. Badamy jedynie sprawy kierowane do nas przez sąd lub NIK. Jeśli jest łamane prawo, jeśli ma miejsce przestępstwo, to musimy prowadzić dochodzenie i ścigać karnie winnych. Ale to sędziowie, w przypadku prywatyzacji, z sądu gospodarczego, mają obowiązek widząc nieprawidłowości zawiadamiać prokuraturę. To samo dotyczy NIK-u: gotowe wyniki przeprowadzonych przez nich kontroli kierowane są do prokuratury. A wtedy, jeśli jest uzasadnione przypuszczenie popełnienia przestępstwa, prowadzi się postępowanie karne. I kilka takich postępowań prowadzą prokuratury rejonowe. Prokuratury te mają również obowiązek dokładnego sprawdzania wyników kontroli rejestrów spółek, prawidłowości wniesionych aportów, wysokości wycen i tak dalej. Ale trzeba to powiedzieć postępowanie sprawdzające nie zawsze prowadzi do wszczęcia postępowania karnego.

– Co ze spółkami nomenklaturowymi?

– Ustawa o spółkach nomenklaturowych ma sens jedynie cywilistyczny. I mogą wyniknąć z tego jedynie sprawy cywilne o źle wyliczone (zaniżone) mienie, aporty, jakieś nieścisłości w księgowaniu. Aby jednak móc powiedzieć, że jest źle, musimy przeprowadzać kontrole. A prokuratorzy nie znają się bo nie muszą na tych zawiłych wyliczeniach. Trzeba powoływać biegłych, a to jest tak bardzo kosztowne, że praktycznie pozbawia nas możliwości działania. Prokuratura, jak większość instytucji państwowych, klepie biedę i nie ma pieniędzy nie tylko na biegłych.

– Czy to znaczy, że można czuć się bezkarnym?

– Niezupełnie. Jeśli sprawa jest przygotowana, to musimy ją prowadzić. I prowadzimy. A że, np. NIK też nie ma odpowiednio dużo ludzi, czasu i pieniędzy, możliwe jest, że nie wszystkie sprawy są badane. Ale na to nie mamy żadnego wpływu.

– Czy prokuratura naciska na sąd i sędziów, żeby nie „dobierali" się do pewnych spraw z kręgu prywatyzacji?

– Nic nie słyszałem o takich praktykach.

Rozmawiał:
Marek Koprowski

Naprawianie krzywd – czy nowe krzywdy?

Belweder kontra rząd

50 tysięcy Polaków domaga się zwrotu swojej własności należącej obecnie do państwa. Według ministra ds. przekształceń własnościowych Janusza Lewandowskiego z chwilą uruchomienia „machiny" reprywatyzacyjnej liczba ich może sięgnąć kilkuset tysięcy.

Tymczasem proces reprywatyzacji odwleka się z powodu zażartego sporu między Belwederem a rządem dotyczącego metody jego przeprowadzania. Belweder z pełnomocnikiem ds. reprywatyzacji na czele chciałby powrócić do stanu własnościowego z 1939 lub 1945 r. Rząd istniejącego stanu nie chce zmieniać, lecz dawnych właścicieli zamierza spłacić obligacjami.

Badania opinii publicznej pokazują, że większość społeczeństwa godzi się na ograniczoną reprywatyzację, zawężoną do przypadków przekroczenia prawa lub niewypłacenia odszkodowań. Tak sądzi 64,6 proc. badanych przez CBOS, w marcu tego roku. Środowiska byłych właścicieli domagają się jej przyspieszenia i rozszerzenia.

Zderzenie tych dwóch racji miało miejsce w łódzkiej siedzibie ROAD-u na publicznej dyskusji pełnomocnika prezydenta RP ds. reprywatyzacji, min. **Jerzego Grohmana** z senatorem, profesorem **Cezarym Józefiakiem**.

J. Grohman: Wszyscy wiemy, że polską gospodarkę trzeba prywatyzować. Z moralno-prawnego punktu widzenia i racji stanu gospodarki najkorzystniej byłoby oddać ją w ręce dawnych właścicieli, których mienie zostało znacjonalizowane. Stanowi ono niewielki procent gospodarki. Widać to szczególnie w dużym przemyśle. W 80% był on w rękach cudzoziemców, którym (oprócz Niemców) na mocy dekretu o nacjonalizacji wypłacono za zabraną własność odszkodowania. Do dzisiaj natomiast nie uregulowano tego w stosunku do obywateli polskich. W lutym br. prezydent widząc że reprywatyzacja nie rusza z miejsca powołał urząd pełnomocnika ds. reprywatyzacji. Ponieważ nie usatysfakcjonował prezydenta żaden z dziesięciu rządowych programów reprywatyzacyjnych, polecił mi opracowanie programu alternatywnego. Tak powstał program nazwany **belwederskim**. Jego głównym założeniem jest restytucja naturalna jako najbardziej oszczędna dla skarbu państwa. Uwzględnia on nieodwracalne procesy, jakie zaszły w gospodarce (np. parcelacja ziemi, sprzedaż notarialna) i obecny stan kraju. Nie legalizuje natomiast dekretu o nacjonalizacji, będącego aktem bezprawia.

Uważamy, że wraz z ustawą o reprywatyzacji musi wejść w życie prawo broniące lokatorów przed eksmisją. A ponadto, że lokatorzy powinni być dotowani przez państwo. Dotacje pozwolą na pokrycie kosztów eksploatacji, a nie zysku właściciela. Ustawa zakłada zwrot mienia obywatelom polskim zamieszkałym za granicą (warunkiem jest przyjęcie obywatelstwa polskiego). Chodzi bowiem o to, aby ludzie ci wrócili, włączyli się do życia gospodarczego wnosząc kapitał i nowe technologie. Dzięki temu nastąpiłoby ożywienie gospodarki i odtworzylibyśmy klasę średnią.

Czy będą oni potrafili gospodarzyć mieniem, które otrzymają?

Nigdzie na świecie właściciele nie są menedżerami, ich rola polega na dobieraniu i pilnowaniu. Pieniądze natomiast mogą pożyczyć z banku.

W przypadku obligacji wystarczy uznać, że nadal są ważne i oprocentowane. Moratoriów nie trzeba delegalizować. Delegalizacja podcina gałąź na której siedzimy, ponieważ w ten sposób podważamy zaufanie do nowych obligacji.

C. Józefiak: Co do ogólnej idei reprywatyzacji, nie ma żadnych sprzeczności między stanowiskiem moim i pana min. Grohmana. Sporna jest forma w jakiej powinniśmy zwracać zagarnięte mienie. Czy, jak proponuje się w projekcie belwederskim, przede wszystkim w naturze, czy też, jak proponuje rząd w formie bonów kapitałowych. Uważam, że reprywatyzację należy rozpatrywać w trzech aspektach: moralnym, prawnym i gospodarczym. Naprawianie krzywd nie powinno przekraczać granic, poza którymi wywołałoby nowe krzywdy, naruszanie prawa, które miało miejsce przy wywłaszczeniach, nie może być rekompensowane w sposób niepraworządny. Występuje tu problem stosunku do praw ustanowionych w minionych latach. Na ogół nie ulega kwestii, że nadanie rolnikom ziemi na mocy reformy rolnej jest nienaruszalne. Jeśli idzie o ustawę nacjonalizacyjną to sądzę, że musimy zaakceptować jej prawne ustalenia i naprawiać tylko szkody wynikające z jej nierzetelnego realizowania.

Teraz, po upływie tylu lat reprywatyzacja jest bardzo trudna. Nasuwa się mnóstwo pytań: czy za punkt wyjścia przyjąć stan z 1939 czy 1945 roku, jak wycenić majątek, czy rekompensować tych, których majątek legł w gruzach, co z właścicielami obligacji, komu rekompensować, jeśli majątek był obciążony długami, jaka ma być forma zwrotów, czy sam akt własności wystarczy czy powinniśmy wymagać od właścicieli także wiedzy, doświadczenia i kapitału, a może także dodatkowych zobowiązań (np. ograniczenia prawa do eksmisji)?

Zgadzam się że reprywatyzacja postępuje zbyt wolno, ale problem jest złożony. Rozwiązania proponowane przez Belweder są trudne do wykonania i niekoniecznie korzystne z punktu widzenia gospodarki, dlatego bliższy jest mi projekt rządowy.

Beata Kostrzewska

cd. ze str. 1

Lubię dołożyć

zgodne z poglądami większości. Przyjęcie takiego założenia było jednym z głównych budulców mojego powodzenia w zawodzie dziennikarskim.

– W jednej z wypowiedzi stwierdził Pan, że nie podlega presji obyczajowej. Jakie są źródła Pańskiego nonkonformizmu?

– Po prostu nie przejmuję się tym, co o mnie sądzi otoczenie i nie działam, jak większość ludzi, pod naciskiem tego, co wypada. Oczywiście to jest względne, bo każdy po trosze ulega tym naciskom. Nie jestem anarchistą w codziennym życiu – kiedy trzeba wkładam marynarkę, czy posługuję się odrębnym nożem do ryby, natomiast niekoniecznie mówię to, co wypada.

– Podejrzewam, że na użytek publiczny kreuje Pan swój znany wszystkim wizerunek. Jaki jest Pan naprawdę?

– Widzę się jako człowieka łagodnego, łatwego w obcowaniu, racjonalizującego także codzienny sposób postępowania, planującego dni, pracę, rozrywki, dosyć ponurego w towarzystwie, dosyć nieśmiałego, bardzo dbającego o swoją sferę prywatności, intymności i spokój, umiejącego oddalać od siebie sprawy, których nie lubię, sybarytę, w znacznym stopniu egoistę.

– Często zdarzało się, że wystawiał Pan na widok publiczny swoją rodzinę.

– Zawsze w sposób wyważony i uzgodniony.

– Jest Pan postacią bardzo kontrowersyjną. Czy jest Pan masochistą lubiącym prowokować ataki na swoją osobę, czy raczej sadystą, który z upodobaniem pastwi się nad przeciwnikami?

– Ja lubię dołożyć – to fakt. Jedyną przyjemność w pisaniu sprawia mi dokładanie, ale to nie znaczy, że jestem sadystą w ogóle. Każdy człowiek ma w sobie trochę agresji i w pewnych okolicznościach, pod wpływem pewnych podniet lubi zrobić przykrość drugiemu. Ja to wyładowuję w pisaniu, przez co jestem dosyć łagodny w bezpośrednim obcowaniu. Natomiast nie mam w sobie żadnego masochizmu, jak każdy bardziej lubię, gdy mnie chwalą niż ganią. Przyzwyczaiłem się do napaści, rozumiem, że skoro ja atakuję innych, nie mogę mieć delikatnej skóry i przejmować się rewanżami, które sam prowokuję. Moja nieczułość na napaści nie wynika z masochizmu – człowiek, który wsadza palec w kontakt nie może dziwić się, że nim trzepnie.

– Mówią, że lubi Pan szokować i zdobywać popularność po najmniejszej linii oporu. Czy zgadza się Pan z dość obiegową opinią, że Jerzy Urban widzi świat przez pryzmat genitaliów i lubi babrać się – przepraszam za określenie – w gównie?

– Nie widzę świata przez pryzmat genitaliów, bo nie mam skłonności, aby zjawiska z innych dziedzin życia niż sfera erotyczna tłumaczyć poprzez emocje czy potrzeby erotyczne. Mówiąc najprościej: nie jest prawdą, że wszystko mi się z dupą kojarzy. Myślę, że moją zaletą jest mniejsza niż u innych ludzi obłuda. Nie mam zahamowań wynikających z presji obyczajów. Troszkę lubię szokować, dlatego wypowiadam poglądy dotyczące sfery obyczajowej czy erotycznej w sposób obalający panujące zwyczaje, denerwujący ludzi przywykłych do pewnej dyskrecji w tym zakresie. Śmiałość w pisaniu nie oznacza śmiałości w sposobie bycia. Jestem wobec kobiet ogromnie nieśmiały i bardzo konwencjonalny, prowadzę mieszczańskie życie.

– Przeciwnicy zarzucają Panu brak smaku...

– Naruszanie obyczajowego tabu może drażnić wrażliwość niektórych ludzi. To prawda, że zdarza mi się przekraczać granice dobrego smaku, po fakcie dochodzę do wniosku, że pewne myśli należało wysublimować.

– Na kim Panu zależy, z czyim zdaniem Pan się liczy?

– Zależy mi na zdaniu Jaruzelskiego, Rakowskiego i pewnego wąskiego grona dawnych współuczestników ekipy rządzącej. Zależy mi także na zdaniu mojej żony, której się bardzo boję.

–Dlaczego?!

– Motyw szukania spokoju jest najszczerszą odpowiedzią.

– Podobno kobiety szaleją za Panem. Jaki typ kobiet lubi Pan najbardziej?

– W codziennym życiu nie zauważam tych dowodów sympatii, a jeśli chodzi o listy z deklaracjami miłosnymi – prawie bez pudła mogę odgadnąć, że wyszły spod pióra pań około siedemdziesiątki. Moje doświadczenie życiowe wskazuje, że zakochuję się nie w tych kobietach, które uznałbym za najbardziej dla mnie pociągające. Najogólniej mówiąc pociągają mnie kobiety pikantne, ekstrawertyczne, erotycznie agresywne, ale nie za bardzo, bo wtedy zalękniony uciekam. Boję się kobiet bardzo ładnych, podziwiam je jak piękny obraz, ale nie nawiązuję kontaktu.

– Co Pan będzie robił jako emeryt?

– To co teraz – będę pisał. Na razie nie noszę się z zamiarem spisania wspomnień. „Alfabet Urbana" uważam za niekonwencjonalną, swobodną formę wspomnień.

– Czy ktoś poza Jerzym Urbanem mógłby wymyślić NIE?

– Sądzę, że tak, zwłaszcza, że pomysł w znacznym stopniu jest zerżnięty z francuskiego pisma „Le Canard Enchaine", które mnóstwo ludzi zna i mogłoby wpaść na pomysł imitowania jego formuły.

– Niektórzy przewidują rychły koniec niezależnej prasy. Czy NIE się obroni?

–Myślę, że się obroni. Po pierwsze dlatego, że atak pójdzie przede wszystkim na okazującą niezależność prasę z własnego obozu, bardziej nienawidzi się dysydentów niż ludzi z innego obozu. Po drugie jest już za późno na zniszczenie NIE, jesteśmy zbyt potężni w opinii publicznej i międzynarodowej.

– Czy NIE ma być tylko krzywym zwierciadłem, czy też stawia sobie jakieś zadania wychowawcze? Czy trud wychowywania prokuratora generalnego albo prezydenta nie jest daremny?

– Dając po łapach za niewłaściwe postępki, skłaniam polityków do niepowtarzania błędów. Jeśli na przykład rzecznik prezydenta w głupi sposób mija się z prawdą, a my mu to udowadniamy – drugi raz już tego nie zrobi. Dotyczy to wielu różnych spraw, między innymi uprawiania prywaty. Natomiast nie wierzę w takie oddziaływanie, że ktoś pod naszym artykule zmieni nagle poglądy. Cieszę się z rosnących wpływów NIE – są większe niż ktokolwiek się przyznaje.

– Najpierw oskarżono Pana o szerzenie pornografii, potem wycofano się z tego zarzutu. Jak by to Pan skomentował?

– Mogę udostępnić sporządzone przez adwokata obszerne uzasadnienie, że jest to próba unikania przez sąd rozstrzygnięcia merytorycznego, zaocznego osądzania. Sąd wyraził opinię, że popełniłem przestępstwo, tylko bagatelne, orzekł, że fotografia była pornograficzna, ale wzięta z pisma niepornograficznego, co jest nonsensem i sprzecznością samą w sobie. Chcę, by moje racje w sprawie określanej przez prokuraturę jako preocedensowa wybrzmiały na rozprawie, gdzie strony będą się ścierać, a wszystkiemu przysłuchiwać się będzie prasa. Chodzi przecież o coś szerszego niż tylko jak sąd ocenia opublikowanie jednej fotografii. Chodzi o zakres swobód obyczajowych w Polsce, zagrożonych przez ofensywę klerykalizmu, wstecznictwa, kołtuństwa. Jest to fragment o wiele szerszej ofensywy wkraczającej w dziedzinę polityki, prawodawstwa – chciałbym więc odnieść sądowe zwycięstwo nad tendencjami zachowawczo-klerykalnymi.

– Dziękuję za rozmową.

Rozmawiała:
Monika Matuszak

DopieszczaNIE

Warszawska kamienica przy ul. Poznańskiej 3 nie różni się niczym od setek innych. Obskurna klatka schodowa, ze ścian płatami odpada farba, w powietrzu unosi się mdlący odór moczu. Powybijane szyby, na parapecie stoi pusta butelka po „Stolicznej", winda nie budzi zaufania. Ani śladu ochroniarzy. Jedynym utrudnieniem dla wścibskich i niepożądanych w redakcji tygodnika „NIE" gości jest domofon.

Pani Ania, młoda sekretarka z firmowym znaczkiem „NIE" na biuście, pracuje z Jerzym Urbanem już 6 lat. Kiedy szła do biura prasowego rządu, nie wiedziała, że stanie się jego podwładną. Przekonała się do niego, jak trochę z nim popracowała. Jej zdaniem szef jest bardzo sympatyczny, ludzki, chętnie we wszystkim pomaga, ma ogromne poczucie humoru – sam o sobie opowiada nowe kawały, nigdy na nikogo nie podnosi głosu. Ma oryginalny gust. Naczelny redaktor „NIE" publicznie deklaruje sympatię do wódki i whisky, ale tak naprawdę nie pije, bo nie może. Bardzo lubi cięte kwiaty, na początku nie chciał słyszeć o paprotce u siebie w pokoju, ale w końcu przyzwyczaił się.

Kierowca określa szefa jako gościa z klasą i opowiada, że Jerzy Urban jeździ czarnym citroenem XM V6 wartym 450 mln zł. Samochód, w pełni zautomatyzowany, z podgrzewanymi siedzeniami i skórzaną tapicerką wykonaną na specjalne zamówienie, jest nie do ukradzenia. Nawet gdyby złodziejowi udało się go uruchomić, nigdzie go nie sprzeda. Jest jeszcze jeden citroen (świeżo rozbity), BMW, którym jeździ żona Urbana (szefowa „Firmy") i Polonez do dyspozycji redakcji.

Do „NIE" były już dwa włamania. Nic nie zginęło, ale od tej pory przez całą dobę zawsze ktoś jest w redakcji. O drugiej w nocy bywają głuche telefony pod wszystkie numery.

Na każde sto listów przychodzą dwa z pogróżkami, niektóre, choć prymitywne, brzmią dość groźnie (cytuję za zezwoleniem adresata):

„Redaktorze Urban! 10 dni (...) ażeby dać Ci szansę byś mógł się dobrze pilnować. W tym w/w czasie będziesz miał obcięte uszy i będziesz głuchy. (...) Za to, że jesteś największym skurwysynem pod słońcem i niewybrednym zbereźnikiem – poniesiesz karę (...)".

„(...) Jest pan skurwysynem, imbecylem, zdrajcą i chamem z osraną mordą przez świnie komunistyczne (...). Zawiadamiam Cię, że w przeciągu 30 dni od wysłania tego listu powinieneś zrezygnować z funkcji redaktora naczelnego. W przeciwnym wypadku Organizacja Białe Orły wykona wyrok kary śmierci przez strzał w plecy, wyrok dla zdrajców (...)" (ciekawostka – list nadano w Dusseldorfie!).

Urban groźbami się nie przejął, ale na wyraźną prośbę zatroskanych współpracowników zatrudnił ochronę. Przez dwa miesiące budził sensację, bo dwóch goryli nie odstępowało go na krok, ale ponieważ była to impreza dość kosztowna (22 mln miesięcznie), a jeden ochroniarz kiedyś gdzieś się zapodział, więc szef zrezygnował z ich usług. Od maja prawdopodobnie będzie przyjęta osoba, która ma jeździć z naczelnym „na wszelki wypadek", a w razie potrzeby pomocą służy kierowca.

Do „NIE" dziennie przychodzi 60-80 listów, w poniedziałki ponad 100. Redakcja zatrudnia jedną osobę specjalnie do przeglądania obfitej korespondencji. 90% nadawców solidaryzuje się z gazetą, zaś każda konstruktywna krytyka jest chętnie brana pod uwagę. Poza kopalnią informacji, listy stanowią żywy materiał socjologiczny – ludzie wszystko widzą i reagują na otaczające ich nieprawidłowości, „NIE" staje się dla nich wentylem bezpieczeństwa.

„Piszecie ciekawie i bezkompromisowo, nie jeden raz skłoniliście mnie do głębszej refleksji".

„Czy zdaje pan sobie sprawę, że przez pański tygodnik przyjdzie mi smażyć się w piekle?"

„W sprawie pornografii proponuję wstrzymać import bananów, kiełbasę sprzedawać w plasterkach, a świece formować kanciaste (...)".

Wielu dobrych dziennikarzy próbowało pisać do „NIE" i odpadło, nie zrozumieli formuły gazety. Naczelny za wzorzec uznaje siebie, a że jest bardzo dobrym publicystą, więc wymagania są duże. Nie ma miejsca na – jak mówi jeden z dziennikarzy – „pisanie tylko dla jaj" ani watowane dłużyzny. Wysoko punktowana jest umiejętność spojrzenia innego niż wszyscy.

Maciej Wiśniowski, dziennikarz: *„Każdy ma prawo bronić swego tekstu, szef jest otwarty na dyskusję, ale zazwyczaj jego poprawki nie budzą zastrzeżeń".*

„NIE" jest gazetą prywatną (wydawca Spółka „Kier" u Jerzy Urban), zarobki są konkurencyjne w stosunku do innych tytułów, ale obowiązuje duża dyspozycyjność – na gwizdek jedzie się bez gadania w drugi koniec Polski. Żaden pracownik nie wstydzi się swojej redakcji. Czasami przemilcza się nazwę firmy, ale zazwyczaj nie ma potrzeby ukrywania pochodzenia. Nawet jeśli ktoś ma chłodny stosunek do tygodnika, nie odmawia udzielenia informacji.

M. Wiśniowski: *„Spotykamy się z dwoma rodzajami reakcji: pełen entuzjazm albo „o Boże, co ja znowu zrobiłem?".*

Tematów do artykułów często dostarczają czytelnicy.

Marek Barański, zastępca redaktora naczelnego: *„Są takie dni, kiedy wydaje się, że ludzie tylko chodzą i kombinują jak by tu zrobić wbrew panu prezydentowi. Zamiast cieszyć się, że ojczyzna wolna i demokratyczna, dzwonią, piszą, przyjeżdżają z daleka i podpowiadają co skrytykować. Nie mamy oporów obyczajowych, więc dociera do nas mnóstwo interwencji dotyczących np. złego prowadzenia się księży. Rzadko się tym zajmujemy. Naszym żywiołem jest polityka, zwalczamy określone postawy, nie ludzi".*

Jak dotąd nikomu nie udało się wpuścić gazety w maliny. To, że redakcja chroni informatorów i nie ujawnia źródeł wiadomości, nie oznacza, że fakty bierze z sufitu. Na każde słowo jest potwierdzenie w formie dokumentu, pisemnego oświadczenia lub zarejestrowanej rozmowy. Nad wymową tekstów czuwa kilku radców prawnych.

M. Barański: *„Napisaliśmy wiele artykułów o ciemnych stronach życia publicznego, które nie znikają wraz z minionym ustrojem. Nikt nie odważył się zaprzeczyć ani wystąpić na drogę sądową. Wszystkie materiały mamy bardzo dobrze udokumentowane – tu leży przyczyna, że nie podejmie się z nami polemiki".*

Specjalnością „NIE" są organizowane przez gazetę happeningi. Głównym pomysłodawcą jest Urban, który podobno posiada wyjątkową zdolność wyszukiwania paradoksów i śmieszności. Kpiąc z realiów życia codziennego, dziennikarze kreują nową rzeczywistość – tak było z żebrakami na ulicach Warszawy, czy z bardzo udanym przyjęciem dla biednych w „Marriotcie", na którym „niechcący" pojawił się również inicjator bieda- zupek Jacek Kuroń.

M. Barański: *„Naszą gazetę redaguje życie i główni aktorzy sceny politycznej, ludzie niezwykle barwni i ciekawi, którzy mają wiele niekonwencjonalnych pomysłów i wypowiedzi wyjątkowo nadających się do wykorzystania w „NIE".*

Gazetę wyróżnia specyficzny język mieszczący się w ramach literackiej polszczyzny, ale bogato przetykany elementami języka mówionego z pewną dawką powszechnie używanych wulgaryzmów. Wiele artykułów przed drukiem podlega tzw. „dopieszczeniu", polegającemu na nadaniu im firmowej stylizacji językowej.

„NIE" celuje w drażnieniu mieszczańskich gustów. Przyznawanie się do czytania gazety nie jest w dobrym tonie. Pewna grupa polityków publicznie ogłasza swoje desinteressement dla tygodnika.

Jerzy Urban: *„Pismo adresowane jest do większości, czyli do półinteligentów. Na pewno czytają nas intelektualiści, uczestnicy życia politycznego, a także młodzież, ponieważ szukanie paradoksów, lekkie traktowanie polityki i obcesowy język korespondują z ich nastrojami i sposobem politycznej ekspresji. Czyta nas też cały obóz dawnych komuchów".*

Skąd się bierze sukces „NIE"? Na pismo opozycyjne popyt jest zawsze, zwłaszcza gdy jego forma jest tak niekonwencjonalna. W pewnym momencie rzeczywistość przerosła pomysł. Dla wielu czytelników „NIE" stało się ostatnią instancją, tak jak kiedyś Biuro Skarg i Interwencji KC. Zagubieni w nowej sytuacji ludzie resztki swoich nadziei pokładają w bezkompromisowej gazecie, która nie obawia się żadnych autorytetów ani władz.

Poza sukcesem czytelniczym „NIE" odnosi również niewątpliwy sukces finansowy. Pomaga mu w tym także zysk z reklamy. 100 tys. zł z 1 cm2 nie odstraszyło wytrwałego posiadacza sex-shopu, który za wszelką cenę chciał ogłosić się w „NIE", ale podobno ów pan, pieszczotliwie zwany w redakcji „kondoniarzem", na razie rezygnuje – musi zainwestować w towar.

Obecny nakład „NIE" wynosi 460 tys. egzemplarzy. Zdaniem dyrektora ekonomicznego dane o finansach są owiane tajemnicą gospodarczą, a ich ujawnienie może zaszkodzić firmie. Jedno jest pewne: gazeta przynosi dochód i zarabia nie tylko na siebie.

Monika Matuszak

Z procesu byłych policjantów

„Pan Bóg odebrał mi rozum...”

Prologiem procesu były wydarzenia w nocy z 20 na 21 listopada 1990 r., znane powszechnie pod określeniem „strzelaniny na ul. Kolumny”. Strzały padły z samochodu policyjnego, goniącego – wraz z drugim radiowozem – uciekającego poloneza z sześcioma pasażerami.

Przypominamy: O godz. 23 do restauracji „Spartakus” przy ul. Kilińskiego przyszły dwie kobiety – Grażyna S. i jej siostra Bogusława M. w towarzystwie Marka S. W lokalu spotkały znajomego, który postawił im po 50 gram wódki. W trakcie jej spożywania pojawili się – w poszukiwaniu Marka S. – trzej mężczyźni: Dariusz K., Piotr M. oraz Paweł D. Przyjechali polonezem, którym wyjechała już cała szóstka, aby kontynuować zabawę w bardziej zacisznym miejscu. Kiedy ruszali z miejsca, przejechał koło nich radiowóz milicyjny. Zawrócił i włączywszy światła alarmowe zaczął ich ścigać. Kierowca poloneza zmylił pogonie, kierując się w stronę Widzewa.

W tej dzielnicy pełniły służbę patrolową dwa radiowozy policyjne. Załogę jednego z nich stanowili: sierżant Marek S. – kierowca i st. sierżant Antoni K., a drugiego sierżanci Andrzej L. – kierowca i Roman P. Przyjęli oni informację, że w ich kierunku jedzie polonez, który nie zatrzymuje się na sygnały. Każda z załóg – niezależnie od siebie – postanowiła zatrzymać uciekający samochód. Nie udała się jednak blokada jezdni. Uciekinier z wielką szybkością oddalał się. Policyjne samochody rozpoczęły pościg. Uciekający samochód pędził w kierunku Andrespola, potem zmienił kurs i wracał do Łodzi od południowej strony. Na sygnały ścigających nie reagował. I wówczas rozległy się strzały...

Trudno określić ile tych strzałów było, ale co najmniej 5 (wg aktu oskarżenia). Jeden z nich przebił oponę poloneza, który już z ul. Kolumny zjechał w pole i tam się zatrzymał. Kierowca i dwóch mężczyzn uciekło nie reagując na strzał ostrzegawczy.

Dwa pociski trafiły Bogusławę M. Jeden uszkodził wątrobę, drugi utkwił w udzie. Ranny został też Marek S.

Oskarżeni i zarzuty

Prokuratura Wojewódzka w akcie oskarżenia, sformułowanym 2 grudnia przeciwko czterem byłym policjantom, postawiła im w sumie 10 zarzutów. 32-letni Andrzej L. (z zawodu mechanik maszyn rolniczych, 8 lat pracy w resorcie) pozostaje pod zarzutem pobicia Marka S. ręką, listwą od samochodu i rękojeścią pistoletu oraz dokonania rozboju. Przystawiając pistolet do głowy groził Markowi S. pozbawieniem życia, przeszukał kieszenie, zabrał zapalniczkę i skórkowe rękawiczki.

Drugi na liście oskarżony to 42-letni Antoni K. (z zawodu stolarz, prawie 20 lat pracy w resorcie). Zarzuca mu się użycie broni palnej wbrew obowiązującym przepisom, postrzelenie dwóch osób, udział w pobiciu Marka S. oraz naruszenie nietykalności kobiet i znieważenie ich słowami.

33-letni Marek S. (z zawodu kierowca – mechanik samochodowy) i 27-letni Roman P. (monter instalacji budowlanych) pozostają pod zarzutami niedopełnienia obowiązku zawiadomienia swoich przełożonych o uczestniczeniu w pościgu, w czasie którego użyto broni palnej oraz o innych, związanych z tym wydarzeniem okolicznościach. Utrudnili przez to prowadzenie postępowania karnego i pomogli pozostałym uniknąć odpowiedzialności karnej. Określa się to działaniem na szkodę interesu publicznego.

Proces...

...przed Sądem Wojewódzkim w Łodzi rozpoczął się dopiero 22 kwietnia. (W pierwszym terminie – w końcu marca – nie mógł uczestniczyć chory wówczas Andrzej L. (W piewszym dniu rozprawy sąd starał się uzyskać od oskarżonych pełny obraz przebiegu zdarzenia, służbowych powinności w określonych sytuacjach, obowiązków, wynikających z przepisów itp. Główny oskarżony nie przyznał się do winy – jak powiedział – w całości, ale zgodził się złożyć wyjaśnienia. Rzecz w tym, że sąd znalazł się w gąszczu zawiłości tak nieprecyzyjnych, że przez cały czas zadawano pytania, ma które padały nielogiczne lub nie na temat odpowiedzi. Oto próbka:

–Dlaczego oskarżony uderzył zatrzymanego Marka S.?

–Podszedłem do leżącego mężczyzny i zapytałem jak się nazywa kierowca poloneza. Powiedział, że go nie zna. Zauważyłem, że obok leży listwa. Uderzyłem go trzy razy w plecy.

–Dlaczego oskarżony uderzył? – ponawia pytanie sąd.

–W celu uzyskania informacji i trochę ze złości. Powiedziałem, żeby szedł do domu.

–Jak to – zauważa sąd – tak długi pościg, kradziony samochód, zatrzymany ranny mężczyzna, czy ustalono jego dane osobowe?

–Nie ustalono, trudno mi powiedzieć, dlaczego polecono mu iść do domu, nie mówił, że był postrzelony.

–Dlaczego nie zawiadomiono przełożonych o zatrzymaniu poloneza i nie czekano na przyjazd ekipy?

–Trudno mi powiedzieć, może ze strachu...

–Czego się oskarżony bał?

–Bo mogliśmy być ukarani.

–Za co? Za znalezienie kradzionego samochodu, za możliwość ujawnienia sprawcy kradzieży?

Milczenie, a po chwili: „nie mam pojęcia”.

Oskarżony nie umiał wyjaśnić rozbieżności w wyjaśnieniach składanych przed sądem w stosunku do tych, które składał w śledztwie, a które trzeba było stale odczytywać. Pytania prokuratora i obrońców też nie doprowadziły do uzyskania konkretów i jasności co do motywów postępowania Andrzeja L.

„Udział” Pana Boga.

Antoni R. odmówił składania wyjaśnień. Przyznał się tylko do użycia broni – jego zdaniem w sposób prawidłowy. Był pewien, że nikogo nie trafił (ocenił siebie jako strzelca średniej klasy). I znowu rozpoczęło się „rozpytywanie” i mało skuteczne, żmudne dociekanie szczegółów wydarzeń. Oskarżony eksponował swoje pozytywy z przebiegu służby w resorcie, niebezpieczeństwa z nią związane, grozę jaką przeżył w czasie omawianego pościgu, kiedy manewr uciekającego kierowcy bezpośrednio zagroził jego i kolegi życiu. Rozbieżności w wyjaśnieniach w stosunku do składanych w śledztwie tłumaczył załamaniem psychicznym z powodu aresztowania (21 grudnia został zwolniony z aresztu za kaucją w wysokości 5 mln zł). Na proste pytanie sądu dlaczego nie zgłosił przełożonym faktu użycia broni odpowiedział bezradnie:

„chyba dlatego, że Pan Bóg odebrał mi rozum”...

Marek S., prowadzący radiowóz z Antonim K. przyznał się do stawianych mu zarzutów, odmówił składania wyjaśnień, ale potwierdził złożone w śledztwie. Wyłączył z nich jednak fragment, jakoby Andrzej K. przystawiał pistolet do głowy zatrzymanego Marka S.

–Dlaczego oskarżony w śledztwie powiedział, że to widział?

–Bo byłem zdenerwowany.

Zupełnie oszołomiony był Roman P. Najpierw potwierdził odczytane mu wyjaśnienia, potem zaprzeczał wielu faktom (np. uderzenie w twarz kobiety przez Antoniego K. i kopnięcie leżącego Marka S.) Gubił się w swej bezradności i widać było, że nie chce obciążać kolegów, a swoją postawą manifestował przestrach.

Poszkodowani

Zeznania poszkodowanych – postrzelonej Bogusławy M., jej siostry Grażyny S. oraz Marka S. były dość skomplikowane i też nie dały jasnego obrazu przebiegu wydarzeń. W zeznaniach sióstr było sporo sprzeczności i braku precyzji. Rozpoznali sprawców na sądowej sali, ale zostało to zakwestionowane przez obrońców. Z materiałów śledztwa wynika, że kiedy im wówczas okazywano różnych funkcjonariuszy, Grażyna S. i Marek S. wskazywali za każdym razem innego policjanta. W związku z tym obrońcy zgłosili wniosek o odtworzenie przed sądem przebiegu rozpoznania, utrwalonego na taśmie wideo w czasie śledztwa.

Marek S. potwierdził przed sądem fakt postrzelenia go i pobicia przez policjantów oraz dokonania na nim rozboju. Na pytanie obrony dlaczego nie zgłosił tych faktów organom ścigania odpowiedział, że początkowo był w szoku i miał to zrobić w późniejszym terminie.

Proces został odroczony do 3 czerwca z uwagi na usprawiedliwioną nieobecność jednego z biegłych. Przed sądem zeznania składać będą Piotr M., Paweł D. i Dariusz K. – uciekinierzy ze ściganego samochodu – oraz kilku innych świadków.

Zofia Tarnowska

cd. ze str. 1

Uliczna wojna czy prowokacja?

strzelano do uciekającego „Poloneza”. Miewątpliwie popełniono wtedy przestępstwo – dlaczego jednak wycisza się to, że auto było skradzione i jechali nim recydiwści?...” W każdym razie to nasz radiowóz wezwał na ulicę Zieloną karetkę pogotowia, którą pojechało dwóch najbardziej poszkodowanych mężczyzn. Jeden to taksówkarz, drugi... Taksówkarze twierdzą, że jeden ze sprawców, druga strona – że to poszkodowany, potrącony przez taksówkę. Trudno w tej chwili jednoznacznie ocenić przebieg wydarzeń – czy był to wybryk chuligański, czy bójka. Trzeba przesłuchać nie tylko uczestników zdarzenia, poszkodowanych mających powybijane szyby w samochodach, ale i przypadkowych świadków, an przykład obsługę pobliskiego „Maxima”, która właśnie skończyła pracę i znalazła się na ulicy.

Tutaj zaczynają nasuwać się wątpliwości. Z relacji kierowców wynika, że zostali napadnięci przez kogoś, kto około godziny drugiej bił się na ulicy. Kiedy jednak przyjechali policjanci, osób tych – jak się zdaje – już nie było, a walka toczyła się z zupełnie innymi osobami: dwoma kobietami i trzema mężczyznami. Okazuje się, że to właśnie obsługa „Maxima”. – *Czy to możliwe, byśmy otoczeni przez taksówkarzy pobili ośmu z nich i zdemolowali samochody?* – pyta się jedna z niwiast. Faktycznie, mało to prawdopodobne...

Trudno też zrozumieć, dlaczego młody kierowca wysiadł na widok ulicznej bójki. bardziej prawdopodobne postępowanie to unik pojazdem... Szczególnie, że kilkadziesiąt metrów dalej czekali na klientów koledzy, dysponujący CB-radiem. Wyskakuje się za to w emocjach z samochodu, potrąciwszy człowieka – czyżby zatem rzeczywiście to miało miejsce, a późniejsze starcie było konsekwencją nieopanowanych emocji?

–Lupmy nas ostrzegają, że jeśli zobaczą w rejonie ulic Obrońców Stalingradu i Gdańskiej taksówkę z anteną CB- radio, obrzucą ją cegłami – twierdzili taksówkarze na spotkaniu, zorganizowanym nazajutrz po nocnych wydarzeniach w śródmiejskiej Komendzie Policji. – *Czujemy się zagrożeni, szczególnie nocami... W dzień na ulicach jest pełno policjantów, każdy jest chętny do kontrolowania i wręczenia mandatów, a nocą często w ogóle nie spotyka się radiowozu.*

–Rozumiem to poczucie zagrożenia – odpowiedział komendant T. Matysiak. – *Z drugiej strony – nocą jeżdżą tylko dwa radiowozy naszej komendy, każdy ma limit 27 kilometrów na zmianę. W praktyce wystarcza to, by pojechać np. na osiedle przy granicy dzielnicy i wróci... Gościłem niedawno policjantów z Pasadeny, liczącej mniej mieszkańców, niż Śródmieście. Mają tam czterdzieści razy więcej radiowozów i 4 śmigłowce.*

Trudno w takich warunkach spodziewać się od policji operatywności, stąd mnożące się niebezpieczeństwa na ulicach. Z ostrzeżeń, przekazywanych taksówkarzom można jednak wnioskować, że nocna bójka rzeczywiście miała miejsce. Kto jednak w niej uczestniczył? Ostrzeżenie to sugeruje się, że może wybuchnąć prawdziwa „wojna uliczna” pomiędzy taksówkarzami i „lumpami” (jak ich określają taksówkarze), atakującymi cegłami. Łódź jednak to nie Chicago – nie można tego porównywać z wojną gangów. Potencjalni napastnicy mają raczej niewiele do stracenia, a taksówka to przedmiot o wielomilionowej wartości – i narzędzie pracy w dodatku. Nic dziwnego, że taksówkarze postanowili wymóc na służbach porządkowych bardziej aktywną postawę. Okazja zdarzyła się już następnego dnia.

Oto około godziny 21.30 pijany pasażer zaatakował taksówkarza i odmówił zapłacenia za kurs. Uszkodził drzwi pojazdu i zbiegł. Gdy wydarzenie rozniosło się pomiędzy innymi, około godziny 0.30 zablokowali ulicę Lutomierską przed Komendą Wojewódzką Policji, żądając rozmowy z władzami województwa i komendantem policji. Rozpoczęto je dopiero nad ranem.

–Przyjęto sześć ustaleń, czy też postulatów, które powinny być możliwe szybko zrealizowane – poinformował nas rzecznik KWP nadkomisarz Adam Antczak. – *Nie wszystkie sprawy są możliwe do rozwiązania na szczeblu województwa – na przykład zniesienie limitów paliwowych dla radiowozów, patrolujących ulice oraz zwiększenie ichilości. Wojewoda przedstawi te postulaty premierowi – jednak w obecnej sytuacji gospodarczej trudno spodziewać się, że będą szybko przyjęte... Postanowiono też usprawnić sygnalizację radiową na kanale dziewiątym CB-radio – wobec braku sprzętu informacje często są niemożliwe do odberania przez policję.*

Po wydarzeniach z ulicy Zielonej taksówkarze postanowili nie tylko złożyć się i wyposażyć śródmiejską komendę w CB-radio, ale i informować przez radio policję o każdym zauważonym na ulicach przestępstwie.

Zmienić się ma postawa policji w przypadku wyłudzenia usług przewozowych przez pasażera. Do tej pory policjanci się tym specjalnie nie przejmowali, pozostawiając problem do rozwiązania zainteresowanemu. Zgodnie z prawem, do obowiązku policjanta należy w takim przypadku ustalenie personaliów pasażera i przekazanie ich poszkodowanemu, który dalej będzie kierował sprawę do postępowania cywilnego – teraz policjanci będą tego ściśle przestrzegać. Pozwoli to zapewne ukrócić coraz powszechniejsze – według taksówkarzy – praktyki odmawiania opłaty za kurs.

Fot. G. Michałowski

Postanowiono też przywrócić służby patrolowe oddziałów prewencji policji, muszą one jedank najpierw skończyć szkolenie. Pamiętamy, za jaką krytką spotykało się jeszcze niedawno istnienie ZOMO. Zostały one w jakiś sposób zastąpione przez oddziały prewencji – luka czasowa, powstała pomiędzy rozwiązaniem pierwszej służby i powołaniem drugiej okazuje się bardziej dolegliwa, niż przypuszczano...

Rodząca się współpraca taksówkarzy z policją daje szansę stałej opieki nad prywatnymi przewoźnikami. Wydawać by się mogło, że zażegna to uliczną wojnę, której obawiają się taksówkarze. Nikt przecież nie będzie ryzykował utraty wolności... Tymczasem kolejny dzień przyniósł nowe wydarzenie.

W czwartek o godzienie 0.50 taksówkarz zawiadomił policję, że na ulicy Cmentarnej dwaj osobnicy rzucili w jego samochód butelkę z łatwopalnym płynem. Butelka rozbiła tylną szybę i podpaliła pojazd, ogień rozprzestrzenił się tak szybko, że kierowca nie zdążył nawet skorzystać z aparatury CB-radio i musiał wzywać policję telefonicznie. Natychmiast na miejsce zdarzenia przyjechało 13 policjantów i straż pożarna – funkcjonariusze dokładnie spenetrowali teren, nie znajdując nikogo podejrzanego ani żadnych śladów. Policja ma poważne wątpliwości co do prawdziwości przedstawienia faktów przez taksówkarza, który kilka dni wcześniej ubezpieczył auto na 25 milionów złotych. Niektórzy zastanawiają się, czy to nie próba oszustwa ubezpieczeniowego...

Z drugiej strony: Wypadek zdarzył się akurat w tych okolicach, przed ktprymi ostrzegano taksówkarzy z CB-radiem. Trudno spodziewać się, by podpalacze pozostali na miejscu napadu, być może w nocnych ciemnościach nie zauwanożno pozostawionych śladów. Niespodziewany napad i pożar może zdezorientować każdego – a wcześniej ubezpieczenie świadczy o uzasadnionej w warunkach zagrożenia za pobiegliwości.

Śledztwo wykaże zapewne, czy to początek ulicznej wojny czy prowokacja – jak by jednak nie było, łódzkie ulice są rzeczywiście nocą niebezpieczne. Można spodziewać się, że postulaty przedstawione przez taksówkarzy pokrywają się z poglądami i innych łodzian – szczególnie tych nie zmotoryzowanych, bardziej narażonych na napad.

Dzierżysław Prosnak

Palił całą noc, światło, golił się wieczorem, ubierał najlepszy garnitur, siedział w fotelu i czekał... na śmierć. A ona nie przychodziła

NN

W karetce uchwycił jej rękę. Ściskał tak, że zaprotestowała: Tato, puść. Boli.

Lecz nie puścił. Nie chciał też puścić w momencie wynoszenia z karetki. Musiała wyrywać siłą.

Zdjęcie rentgenowskie wykazało skomplikowane złamanie podudzia. Lekarz rozłożył bezradnie ręce: w tym wieku, proszę pani...

Zdawała sobie doskonale sprawę, że w tym wieku umiera się na wszystko. Na złamanie podudzia też: ojciec niedawno ukończył siedemdziesiąt osiem lat.

Lekarz powiedział to swoje, że w tym wieku, proszę pani, stanowczo za głośno. Ojciec drgnął, uchwycił znowu jej ręki. Nie zostawiaj mnie tutaj. Proszę. Ależ, tato, powiedziała pośpiesznie, tu cię wyleczą.

I jeszcze pośpieszniej dodała, potykając się o własne słowa jak o kamienie, że przecież powinien zrozumieć: to dla jego dobra. Szpital, mówiła, lekarze, mówiła, dobra opieka, mówiła, której my ci w domu nie jesteśmy w stanie zapewnić, mówiła, nie ma obaw, to tylko zwykłe złamanie. Ucisk jego dłoni rozluźniał się, słabł, wiotczał; zostawała sama, ze swoją uwolnioną ręką i swoimi pospiesznymi słowami. Powiedziała jeszcze, że zaraz jutro z samego rana przybiegnie, porozmawia z ordynatorem; a wtedy ojciec zamknął oczy. Jakby powiekami odgradzał się od niej, żywej, on, już prawie umarły.

Mąż czekał przed szpitalem w samochodzie. Był zły. Co tak długo? Rozpłakała się. Przecież to w końcu rodzony ojciec. Mąż zdenerwował się bardziej: nie histeryzuj! Doskonale wiesz, że to już koniec.

Oczywiście, że wiedziała.

Akurat szykowała w kuchni kolację. Ojciec powiedział, że zje później. Usłyszała go właśnie, jak wchodzi do łazienki, hałasuje zbyt mocno puszczonym strumieniem wody. Zdążyła jeszcze pomyśleć, że te codzienne kąpiele ojca bardzo zawyżają rachunki za gaz, gdy z łazienki rozległ się rumor, potem krzyk bólu. Wbiegła: nogę miał tak dziwnie na bok odrzuconą, jakby ta noga już do niego nie należała, lecz usiłował się podnieść, chwytając brzegu wanny.

U matki skleroza rozwinęła się błyskawicznie, z dnia na dzień nieomal. Nikt w rodzinie nie przypuszczał, że kłopoty wynikną właśnie z matką. To starość ojca wzbudzała obawy. Był od matki o dwanaście lat starszy. A po przejściu na emeryturę gwałtownie się obsunął. Najpierw wyglądało, że tej swojej emerytury wprost nie może się doczekać. Opowiadał, że wreszcie się wyśpi za całe niedospane życie. Druga młodość, mówił, śmiejąc się. Półeczki porobię w kuchni. Boazerię założę w korytarzu. Czas. Mnóstwo czasu wolnego.

Półeczki to nawet zrobił. Ale deski na boazerię jak wrzucił do piwnicy, tak tam leżą do dnia dzisiejszego, pobutwiałe już. Ani gazety, ani telewizji, nic, tylko się obijał po mieszkaniu. Wstawał przed szóstą, jakby miał iść do roboty, mył się, ubierał, siadał w kuchni. Kuchnia nie za duża, mąż do pracy, córka do szkoły, trzeba im śniadanie, a tu człowiek się o niego potykał co krok, wnerwiał się, czasem nie wytrzymał, krzyknął, że co ojciec, do diabła!, niech idzie do swego pokoju, nie plącze się pod nogami.

Albo od okna do okna. I stoi, patrzy, cholera wie na co. Żeby to jeszcze u siebie, lecz przylezie do pokoju córki, albo do pokoju męża, więc mąż się denerwował: czy ojciec naprawdę musi się szwendać po całym domu, wszystkim przeszkadzać?

To przestał wychodzić. Tyle co do łazienki albo ubikacji. Potem w ogóle nie wstawał z łóżka. Trzeba mu było nosić jedzenie. Nawet matka z nim nie mogła wytrzymać. Całkiem stetryczał, stary dziad, mówiła matka.

Matka zawsze dbała o siebie. Raz na tydzień chodziła do fryzjera. Ziemniaki obierała w rękawiczkach, żeby nie zniszczyć rąk: miała je ładne o długich palcach. Ubierała się wyłącznie w jasne kolory. Regulowała brwi, wklepywała drogie kremy. Ty w moim wieku, mówiła do córki, nie będziesz miała ani mojej figury, ani mego wyglądu.

Zabierzcie mnie od niego, żądała matka.

Mieszkanie niby niemałe, trzy pokoje, korytarz całkiem przyzwoity, długi, szeroki, łazienka też taka, że pralka automat się mieści bez przeszkód, bardzo ładne mieszkanie jak na bloki, ale ten największy pokój oddali córce, gdy jeszcze na drugim roku studiów musiała wyjść za mąż, i oni tam od dziesięciu lat we trójkę: córka z zięciem i wnuczką. W środkowym pokoju, najmniejszym zresztą, gnieżdżą się we dwoje: ona z mężem. A ten trzeci jest ojca i matki.

Więc niby gdzie tę matkę wsadzić? A mąż, chociaż dużo zawdzięczał jej rodzicom, nie lubił ich nigdy. Tyle że zawsze miał wysoko rozwinięte poczucie obowiązku moralnego. Dlatego puszczała mimo uszu te jego ciągłe uwagi, że gdyby nie mieszkanie, to już by dawno ojca oddał do przytułku.

Dopóki jako tak łazi, mówił mąż, to pół biedy, ale w końcu dopadnie go skleroza albo co, i dopiero da nam popalić.

Tymczasem skleroza dopadła matkę. Zewnętrznie niby nie zmieniona: brewki podskubane, usta podmalowane. Siedziała przy obiedzie, i nagle... Mąż zerwał się od stołu: Co mama! co mama! krzyknął, wybiegł, ledwo zdążył do ubikacji, długo się męczył, bo mąż bardzo brzydliwy, nie daj Boże żeby włos w zupie, a tu... Wnuczka, miała wtedy ze dwa latka, namarszczyła nosek: oj, ale tu śmierdzi. Babcia w majteczki narobiła. Babci trzeba dać lanie.

Tak chyba w trzecim tygodniu po tej niedzieli usiadła w korytarzu, pobrudziła ściany. Wszyscy oglądali film w telewizji, nie słyszeli. Dopiero jak rozśpiewała się cienkim sopranikiem, że cyraneczka nie ptak, wypadło się do korytarza.

O, Boże, a tam matka, upaćkana, kiwa się, śpiewa o tej cyraneczce, że nie ptak, a dziewczyna, że nie ludzie... Kiedyś, w młodości śpiewała w chórze amatorskim.

Mąż schwycił się za głowę. Zaczął krzyczeć, że on tego ma dość. Jeden stary, zniedołężniały dziadyga, co to nosa ze swego pokoju nie wyściubia, a teraz babka sklerotyczka całe mieszkanie zapaskudza!

Drzwi otworzyły się, wyszedł ojciec. Podszedł do matki, dźwignął ją, jak małe dziecko zaprowadził do łazienki. Długo było słychać jednostajny szum wody. Na rękach ją niósł, już czystą, ale ciągle pośpiewującą o cyraneczce, do pokoju. Zmył podłogę, ściany, posprzątał, zszedł do piwnicy, przyniósł farbę, zamalował na ścianie brzydkie smugi. Potem powiedział: Sam będę się matką zajmował.

I zajmował się. Mył, czesał, ubierał, wyprowadzał na spacer, karmił. Nikomu nie pozwolił się do niej dotknąć. Nawet rzeczy po niej prał. Mąż go kiedyś zapytał: Ojciec to się nie brzydzi?

Popatrzył na męża, popatrzył, nie odpowiedział.

Do trumny matkę też ubrał. Był pogodny i spokojny po jej śmierci.

Miała ją zresztą cichą, nawet się nikt nie domyślił, że umarła. Ojciec wstał rano o zwykłej porze, umył się, zjadł śniadanie. Porozmawiał o pogodzie. Że się ociepliło. I że nocą jakiś ptak pięknie śpiewał za oknami.

Wolna sobota, wszyscy w domu. Mąż roześmiał się: ptaki nocą nie śpiewają, powiedział mąż, ptaki po nocach śpią.

Co ty możesz wiedzieć o ptakach? odpowiedział ojciec. Albo o nocach, w których ptaki śpiewają?

Mąż roześmiał się jeszcze głośniej.

Cóż się tak ojcu nagle zebrało na liryzm?

Matka go też słyszała, powiedział ojciec. Umarła, słysząc ptaka.

Co ojciec? wystraszył się mąż. Wszyscy się wystraszyli.

Nie wiem, jak się to załatwia, powiedział ojciec, ale chyba należy wezwać lekarza, żeby orzekł zgon.

Była po nocy uczesana. Ubrana w najładniejszą nocną koszulę z falbankami przy szyi. Ręce jej złożył na piersiach. Powieki też domknął, więc wyglądała tak, jakby spała i jakby się jej śniło coś ładnego, może ten ptak, który śpiewał nocą. Ale przecież mąż ma rację: ptaki po nocach nie śpiewają.

Mąż i wszyscy w domu obawiali się, że ojciec po śmierci matki straci swoją ostatnią motywację, zniedołężnieje i będzie z nim odtąd wyłącznie kłopot.

Lecz ojciec trzymał się dobrze. Ciągle na uboczu życia rodzinnego, jednak dbał o siebie, wszystko sam przy sobie robił. Jeśli mu się chciało w czymś pomóc, uprać koszulę lub sprzątnąć w pokoju, mówił: Sam. Ja sam. Przy mnie nie trzeba nic, niczego.

Tylko to światło. Nie gasił go. Paliło się noc w noc do rana. Znowu zapomniał zgasić, cholera, denerwował się mąż. Idź, zgaś mu.

Ale nie. On nie zapominał. Ile razy wchodziła wieczorem lub nocą już, zawsze było to samo: tapczan posłany jak należy na noc, kołdra równiutko, a ojciec siedzący w fotelu pod oknem. Całkowicie ubrany. W marynarce zapiętej na wszystkie guziki. Jakby oczekujący. Jakby gotowy.

Nawet nabrał zwyczaju golić się wieczorem, chociaż zawsze golił się rano.

Pozwól mu chociaż to światło, poprosiła męża. Mąż powiedział, że emeryturka ojca nawet na koszt jego utrzymania nie starczy. Czy ty wyobrażasz, ile on nabija nam prądu na rachunki tym swoim paleniem światła?

Chyba ojciec dosłyszał, a może się domyślił, i odtąd już światło gasło w jego pokoju z pierwszym zmierzchem.

Czasem nie potrafiła się opanować, skradała na palcach pod drzwi pokoju ojca, otwierała ostrożnie. Ciemniejący w fotelu pod oknem kształt wskazywał, że ojciec, gotowy, oczekuje.

A ponieważ rano wychodził w piżamie, domyśliła się, że dopiero, gdy się rozwidni, rozbierał się i kładł.

Na pół roku przed upadkiem przeszedł lekki wylew. Ten wylew musiał mu się zdarzyć nocą. Cały dzień nie wychodził z pokoju, aż się zaniepokoiła: co z nim? I dlaczego u niego tak cicho? Zajrzała, spostrzegła, że siedzi jak zwykle, więc to ją uspokoiło. Twarzy nie widziała, miał ją w cieniu. Zapytała, czy przyjdzie na kolację. Ale pokręcił głową, że nie.

Następnego dnia wyszedł. Może nie chciał wzbudzać podejrzeń, albo może wyobraził sobie, że już z nim lepiej. Więc zobaczyli wtedy, że jakoś powłóczy lewą nogą i że ta lewa ręka tak jakoś mu dynda, a twarz jest sinofioletowa. Ojciec ma wylew, dzwoń po karetkę! krzyknął mąż.

Ojciec zawrócił w miejscu, rzucił się do ucieczki. Kickał na jednej nodze, prawą ręką podtrzymując się ściany. Zamknął się w pokoju na klucz.

Bardzo się wtedy pokłóciła z mężem. Nie pozwoliła zabrać ojca do szpitala. Sprowadziła lekarza do domu. Lekarz powiedział, że wylew był lekki, a ojciec ma silny i zdrowy organizm.

Mąż nie odzywał się do niej przez dwa tygodnie.

Jak to w życiu rodzinnym, za jakiś czas wszystko wróciło do normy. Tyle że ojcu zostało już to powłóczenie nogą. Lewa ręka była też niesprawna. Ale radził sobie we wszystkim ładnie, sam, mówił. Ja sam. Przy mnie nie trzeba nic, niczego.

Co wieczór szykował się na kolejną noc. Kąpał, przebierał w czystą koszulę, golił się.

Jeszcze z tym złamaniem nie chciał się poddać. Czepiał się brzegu wanny, chciał wstać.

Wtedy od razu wiedziała, że to jest początek końca.

Tam, w łazience, też się uchwycił jej ręki. Nie pozwól, zaczął, lecz nie zdążył dokończyć, bo wszedł mąż i powiedział, że to było do przewidzenia, bo przecież ojciec po wylewie ledwo nogami powłóczył, ale nie dał sobie wytłumaczyć, że jest już stary i niedołężny.

Zamilcz, przerwała mężowi, zamilcz.

Na karetkę czekali cztery godziny. Podobno tego dnia było bardzo dużo zgłoszeń.

Następnego dnia poszła do szpitala. Zaniosła ojcu ten obiecany kisiel z czarnej porzeczki. Nie chciał rozmawiać. Nie odezwał się ani jednym słowem. Milczał.

Lekarz powiedział od razu, tego pierwszego dnia, że z ojca jest krnąbrny, wyjątkowo trudny, sprawiający masę kłopotów pacjent. Nie odpowiada na żadne pytania.

Przez pierwszy tydzień przychodziła codziennie. Przynosiła kompoty, kisiele, rosołki. Nie chciał jeść. Zamykał oczy. Milczał uparcie.

W drugim tygodniu zachorowała wnuczka, a mąż miał kłopoty w pracy. Przyszła dopiero w niedzielę, a to dzień odwiedzin, tłum się kłębił. Ojciec miał powsadzane do nosa jakieś rurki i kroplówkę w żyle. Lekarz powiedział, że takiego pacjenta dawno na oddziale nie mieli. Wczoraj wyrwał kroplówkę z żyły, spadł z łóżka. Poza tym, dodał lekarz, wdało się dwustronne zapalenie płuc, rokowania są złe, jak najgorsze, proszę mieć stały kontakt ze szpitalem.

Ale w poniedziałek nie poszła, bo się popsuła pralka automatyczna, a tu tyle prania. Zamówiła naprawiacza we wtorek, cały wtorek czekała, nie zjawił się dopiero w środę. Na szczęście przed południem, więc po południu mogłą się wybrać do szpitala. Mąż zaproponował, że podrzuci ją samochodem. A po szpitalu, powiedział mąż, podjedziemy na Zachodnią. Tam w zeszłym tygodniu oglądałem taką ładną lampę stojącą.

Po co nam stojąca lampa? zdziwiła się. Jak to po co? W ostatnim pokoju zrobimy sobie naszą sypialnię, a w tym obecnym living room, odpowiedział mąż.

Na łóżku ojca leżał jakiś inny pacjent.

Zbierała rozdygotanymi rękami rzeczy ojca z szafki. Słoiki z nadpleśniałym kompotem, szczoteczkę do zębów. I takie tam inne drobiazgi. Pani, odezwał się mężczyzna z sąsiedniego łóżka, tego paninego ojca to jeszcze wczoraj wieczorem razem z kroplówką wsadzili na łóżko i dokądś powieźli. Pewno na umieranie, bo z nim było już bardzo licho.

Dyżurny lekarz nie wiedział nic o ojcu. W książce dyżurów z poprzedniej doby nie było wpisu zgonu.

Mąż zaczął awanturować się, że co to za porządki w tych szpitalach. Lekarz też, żeby nie krzyczeć, bo to jest szpital i tu chorzy. Ładnie o nich dbacie, krzyczał mąż, nawet nie wiecie, czy jeszcze żyją, czy już umarli!

Jakiś sanitariusz przypomniał sobie, że kogoś tam chyba wczoraj wieczorem karetką odstawiali do innego szpitala. Ale zaraz zastrzegł się, że nie wie tego na pewno.

Do prokuratora was podam! krzyczał mąż.

Lekarz tłumaczył, że teraz jest nowa, popołudniowo-nocna zmiana na oddziale. Trzeba przyjść rano, będzie ordynator, wszystko wyjaśni.

Udało się jej ubłagać męża, pojechali po szpitalach szukać ojca. Znaleźli go na drugim końcu miasta. Leżał za parawanem w Izbie Przyjęć. Nie miał karty. Figurował jako NN.

Oczy miał szeroko otwarte. Usta też.

Tam, w tamtej Izbie Przyjęć, powiedzieli im, że przywieziono go wczoraj wieczorem podczas ostrego dyżuru, a wiadomo, co to za magiel na Izbie i w szpitalu podczas ostrego dyżuru. Nim się ktokolwiek zorientował, o co chodzi, ci, którzy przywieźli, odjechali.

A że nie miał żadnej karty, ani nic, zapisano go jako NN.

Były z nim kłopoty, powiedziano. Koło północy zaczął krzyczeć. Ludzie różnie zachowują się w chwili śmierci.

Dobrze, że państwo jesteście. Dla szpitala byłby bowiem duży kłopot, taki nieboszczyk NN.

Ewa Ostrowska

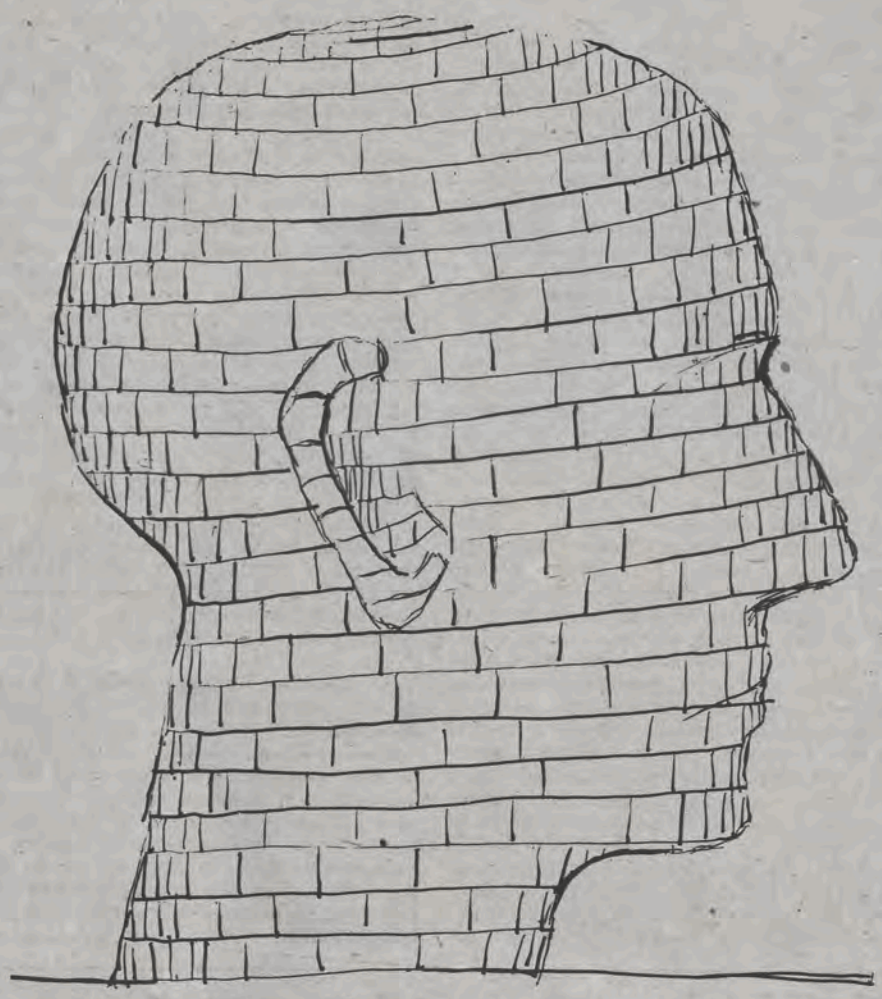

Rys. J. Trąbska

Jerzego Kosińskiego poznałem w 1988 roku...

Kroki w samotność

Jerzy Kosiński, 14. 04. 1988 Łódź Foto: J. J. Marszewski

Poznałem Jerzego Kosińskiego podczas jego pierwszego wówczas od trzydziestu lat pobytu w Polsce, w 1988 roku. Kilka miesięcy wcześniej „Odgłosy" wydrukowały bohatersko fragment *„Malowanego ptaka"* w przekładzie niżej podpisanego. Pismo otrzymało burę od ówczesnego Ministerstwa Kultury, kierowanego przez profesora Krawczuka; przesłano nam listy od zirytowanych „takimi świństwami" czytelników. Rychło okazało się jednak, że Kosiński niedługo przyjedzie do kraju ujawniający ten fakt artykuł Daniela Passenta w „Polityce" niemal natychmiast wywołał falę powszechnego zachwytu i zadowolenia z powrotu wybitnego rodaka, wybitnego pisarza oraz nie mniej wybitnego naukowca. Już bez większych obaw opublikowaliśmy kilka kolejnych fragmentów książki Kosińskiego, który spotkał się ze mną po przyjeździe do Łodzi i zgodził się udzielić mi wywiadu.

Piszę o tym, będąc pod wrażeniem niedawnego samobójstwa autora „Kroków", zaskakującego dla każdego, kto choć raz zetknął się z tym pełnym życia i energii człowiekiem. Był autorem jedenastu powieści (za *„Malowanego ptaka"* otrzymał Prix du Meilleur Livre Etranger, za *„Kroki"* prestiżową amerykańską National Book Award, za twórczość literacką nagrodę Międzynarodowego Instytutu Sztuki i Literatury). Zagrał w filmie wybitnego reżysera Hala Ashby, który przeniósł na ekran kolejną powieść Kosińskiego *„Wystarczy być"*. Wykładał na renomowanych uniwersytetach, dostąpił zaszczytów profesury i stopni naukowych, prezesował amerykańskiemu PEN-clubowi. Zdobył sławę i pieniądze, ale zajmował się również działalnością społeczną: był prezesem Fundacji Dziedzictwa Polsko-Żydowskiego z siedzibą w Krakowie. Pomimo choroby serca świetnie jeździł na nartach i grał w polo. I nagle, w wieku 57 lat Jerzy Kosiński przerywa swe aktywne życie, zakładając na głowę plastikową torbę, podobnie jak niegdyś Bruno Bettelheim, wybitny psycholog i badacz kultury, którego z Kosińskim łączyła pamięć tragedii ostatniej wojny, okrucieństw obozów koncentracyjnych i zagłady najbliższych, rozstrzeliwanych lub zagazowanych w komorach Oświęcimia.

Kosiński w swoich książkach zajmował się nade wszystko niezgłębioną jaźnią człowieczą, mroczną stroną duszy istot ze swej natury biologicznych, podlegających niesprawiedliwym z punktu widzenia moralności prawom przyrody, owładniętych jednakże dalekimi od zwierzęcości uczuciami zła, nienawiści i sadyzmu. Natura nie zna etyki, jest obojętna i egoistyczna, człowiek zaś poddając się niepisanym regułom walki o przetrwanie powoli rezygnuje z wpajanych mu przez kulturę zasad i ideałów moralnych. Wybiera taką drogę, która okazuje się skuteczna, która zapewnia mu fizyczną i psychiczną dominację nad zagrażającymi jego istnieniu współbraćmi. Tak postępują bohaterowie *„Kroków"* i *„Malowanego ptaka"*, chełpiący się swym złem, radujący się z jego przeżywania i czyniący z niego broń, wymierzoną w przejmujące odpowiedzialność za grzech ofiary. Kosiński napisze, że gdyby jego postaci *„cofnęły się przed wyrządzeniem krzywdy innym, gdyby poddały się uczuciom miłości, przyjaźni i litości, stałyby się natychmiast słabsze, a wtedy ich życie musiałoby zawrzeć w sobie cierpienia i porażki, których oszczędzili innym"*. Kruszą się powoli fundamenty systemów rozumienia świata, począwszy od magii i zabobonów, a skończywszy na religii i pseudopolitycznej doktrynie faszyzmu. Ostatnim punktem oparcia nie jest już nawet historiozofia heglowska, nie bezwzględna i pobłażliwa „logika dziejów", lecz ludzkie serce, niepojęte i alogiczne, kierujące się jedynie własnym interesem i niewytłumaczalnymi uniesieniami, odzwierciedlającymi absurdalność świata i tak zwanego postępu cywilizacyjnego. Człowiek jest więźniem swego własnego „ja". Opanowany jest przez mody i pozory, opanowany jest przez formę, której ulega i którą uporczywie posługuje się na użytek innych, tak jak bohaterowie *„Kroków"*, którzy poznają jedynie niepełne, okaleczone jaźnie ludzkie, wystawione przez swoich właścicieli na pokaz, na sprzedaż bądź na wymianę. Niepełni ludzie żyją w niepełnych związkach, albowiem istnienie jest kategorią jednostkową. Stosunki międzyludzkie jawią się tu jako gra, w której wygrywający wykorzystuje otoczenie jak zwierciadło, odbijające jego mrzonki i pragnienia, mogące przedłużyć człowieczą egzystencję. Zło jest zatem koniecznością, podobnie jak śmierć, co nie oznacza jednak, że należy się na nie godzić. Sprzeciwić się światu można jedynie obnażając jego ohydną twarz z tryptyków Bosche'a i przyznając się do własnej nienawiści, do hipokrytycznej słabości, polegającej na samozakłamaniu i nieautentyczności. Nie ufajmy zatem tym, którzy dostrzegają w twórczości Kosińskiego jedynie apokaliptyczny bezsens gwałtów, zbrodni i cierpień, zadawanych zarówno ciału, jak i duszy człowieka. Zabijamy, ale i tworzymy, i najokrutniejsze nawet potwory ludzkie szukają odpowiedzi na pytania dotyczące znaczenia bytu, jego charakteru i szerokiego, metafizycznego wymiaru, przejawiającego się codziennie, zawsze i wszędzie, na wojnie i w czas pokoju, w miłości, śmierci i w najdrobniejszej czynności, wykonanej świadomie lub podświadomie. Książki Kosińskiego w ostatecznym rozrachunku są zawsze afirmacją życia, są wielkim, wspaniałym Tak z ostatniej strony *„Ulissesa"*, ponieważ nawet piekło ma swój koniec, a kres drogi przez mękę jest zagadką, która stanowi zawsze szansę odmiany samego siebie. Odzyskanie mowy przez bohatera *„Malowanego ptaka"* jest dla niego wydarzeniem radosnym, albowiem może on teraz „malować" świat, nazywać rzeczy, stwarzać je słowem i przeżywać na nowo. Kąpiel z ostatniego epizodu *„Kroków"* jest natomiast kąpielą oczyszczającą, rytualnym zmyciem grzechów, stawiającym człowieka przed kolejnym wyborem, którego dokonuje każdy; najpodlejsza nawet istota ludzka. Jak mówił Kosiński na spotkaniu z czytelnikami w Łodzi, martyrologia, cierpienia i śmierć są zawsze przeszłością. Gloryfikacji i uświęceniu podlega życie, dar, który można odrzucić, ale który jest z natury darem Dobra.

„Człowiek nie myślący o momencie życia jest dla mnie człowiekiem nieżyjącym. Mój stosunek do religii jest natomiast moim stosunkiem do codziennego życia. A religia to bardzo świadomy moment czołobitności w stosunku do każdego momentu życia, które we mnie płynie. Świadomość i poszanowanie życia to już jest religia, to jest ten ołtarz, któremu się zawsze kłaniam. Nie mam odpowiedzi na to, skąd się ten dar życia wziął. Podarunek jest tak nieprawdopodobnie bogaty, a równocześnie nie wiadomo, kiedy się kończy, i wobec tego trzeba myśleć o podarunku, a być może nie o ofiarodawcy, bo tego ofiarodawcy nawet ja, człowiek z dość dużą wyobraźnią, jak mi się wydaje, nie chciałby i nie mógłby sobie wyobrazić. Czym jest byt? Przez byt rozumiem absolutną świadomość momentu życia. Momentu zdefiniowanego jako moment dramatyczny, z którego mocodawca, w tym wypadku człowiek żyjący, zdaje sobie w pełni sprawę i temu momentowi moc nadaje, między innymi rodzajem języka, jakim o tym momencie pisze i w jaki sposób się o tym momencie wyraża". To słowa Kosińskiego („Odgłosy" z 16.IV.1988 r.), tego samego, który powiedział, że życie warte jest mitologizacji, i tego samego, który życie sobie odebrał.

Przetrwanie jednostki, będące osnową tylu utworów Kosińskiego, stanowiło także temat dysput filozoficznych od Epikura po Schopenhauera i egzystencjalistów, ale Kosiński był zdania, że triumf człowieka w walce o swoje prawa rodził się nie w żarze akademickich rozpraw, lecz ogniu pieców krematoryjnych i w mrozach Syberii. W miejscach kaźni i tortur, w miejscach ostatecznych, zwycięstwem jednostki może stać się także paradoksalnie samobójstwo. Tam nie ma trzeciej drogi, wyłącznie śmierć może ocalić godność człowieka i nadać sens jego życiu. A jednak jak dowodzi Kosiński w swych utworach, miejscem męki może stać się również słoneczna Kalifornia, oprawcą zaś każdy, kto *„potrzebuje namacalnego dowodu swojego istnienia"*.

Od *„Malowanego ptaka"* po *„Pustelnika z 69 Ulicy"* zajmował się Kosiński socjolog z wykształcenia, autor licznych prac naukowych relacją jednostka zbiorowość; zajmował się relacją społeczności i kozła ofiarnego, władzą jednostki i bezsilnością podporządkowanej jej zbiorowości, czyli podstawowymi zagadnieniami społecznymi współczesnego świata. Ale choć człowiek żyje wśród ludzi, absolutna i pierwotna jest wyłącznie jego samotność. Do stada można się przystosować, ale wówczas okaleczamy własną jaźń poprzez nawiązywanie stosunków z innymi podmiotami ludzkimi i wzięcie udziału w formalnej grze pozorów, o której była już mowa. Żyć prawdą można jedynie samemu, a na to trzeba tytanicznej siły lub ogromnej miłości. Być może Kosińskiemu czegoś nagle zabrakło. Trudno uwierzyć w jego depresję, niespodziewany zanik sił twórczych czy chorobę serca, z którą przy obecnym stanie wiedzy medycznej żyć można całymi latami. Pisanie było dla niego najwyższą radością, powołaniem i artystyczną misją. Kto wie, co Kosiński mógłby jeszcze zaproponować światowej literaturze. Odszedł, i żadne słowa już nie zastąpią człowieka. Uznał widocznie, że trzeciej drogi nie było; nikt nie ma teraz prawa oceniać tej decyzji. Zostały książki, które twórca uwiarygodnił własnym życiem, doprowadzonym do końca mocą woli jednostki, której poświęcił pisarz swe artystyczne poszukiwania aż po ostateczną otchłań nicości. Zaiste, jest to jednak pyrrusowe zwycięstwo.

Maciej Świerkocki

O Friedrichu Dürrenmattcie i Maxie Frischu można pisać tylko w czasie przeszłym

Byli przyjaciółmi i konkurentami

W ciągu zaledwie paru miesięcy Szwajcaria straciła dwóch wybitnych pisarzy, którzy byli chlubą nie tylko swego kraju, ale i całej literackiej Europy. Friedrich Durrenmatt zmarł 14 grudnia 1990 roku w Neuchatel, w przeddzień ukończenia 70 lat życia, a Max Frisch 4 kwietnia 1991 r. w Zurychu, zbliżając się do osiemdziesiątki.

Obaj znani są polskiej publiczności zarówno z przełożonych na nasz język powieści jak i granych na naszych scenach dramatów, dość wspomnieć *„Wizytę starszej pani"* Durrenmatta czy *„Biedermanna i podpalaczy"* Frischa. Obaj też bardzo lubili odwiedzać Polskę, a Durrenmatt oświadczył wręcz, że Polska jest jego drugą ojczyzną (po Szwajcarii), jeśli chodzi o częstotliwość wystawiania jego sztuk. Frisch przyjechał po raz pierwszy do naszego kraju w 1948 roku, aby wziąć udział we wrocławskim Kongresie Intelektualistów. Odwiedził wtedy również Warszawę, a po powrocie opisał swój pobyt w „Dzienniku". Oto charakterystyczny passus z jego polskich notatek: *„Tragedią Polaków jest ich geografia"*. A na innym miejscu możemy przeczytać o wrażeniach Frischa z Warszawy: *„Przy wspaniałej kawie, którą właśnie piję, mam uczucie, że można tutaj żyć i pracować. Ludzie nie wydają mi się już, jak podczas pierwszego szoku istotami przeklętymi, przeciwnie: ich twarze są pogodne i czujne, o wiele pogodniejsze niż w moim rodzinnym mieście"*.

W latach siedemdziesiątych, gdy Frisch znalazł się w Warszawie, jego polski tłumacz Jacek Fruhling, z którym się przyjaźniłem, zaprosił mnie na wspólny obiad do warszawskiego „Bristolu". Siedzieliśmy w trójkę, Frisch, dobrze usposobiony, opowiadał sporo o sobie. Zapamiętałem słowa jego (nieżyjącej już wówczas) matki, które przytoczył uśmiechając się: *„Nie powinieneś pisać wciąż o kobietach, ponieważ ich nie rozumiesz"*. W pewnej chwili Frisch powiedział: *„Zawsze żałowałem, że nie uprawiam poezji. Byłbym szczęśliwy, gdybym umiał pisać wiersze"*. I jeszcze: *„Należę do tych pisarzy, którzy nie oddzielają twórczości od biografii. W każdej mojej powieści jest coś ze mnie i coś z mojego życia"*. Istotnie, kto czytał *„Homo Faber"*, *„Powiedzmy, Gantenbein"*, *„Stillera"*, a zwłaszcza *„Montauka"*, wychwyci bez trudu liczne wątki autobiograficzne.

Z Fryderykiem Durrenmattem spotykałem się niejednokrotnie. Pierwsze spotkanie nastąpiło bodaj w 1961 roku, gdy pisarz przyjechał do Warszawy, gdzie Teatr Współczesny przygotowywał do wystawienia jego „Fizyków". Brałem udział w rozmowach z nim zarówno w teatrze jak i w Domu Literatury podczas dyskusji z polskimi pisarzami. Gdy go ktoś zapytał, czy sztukę *„Romulus Wielki"* przyjmowano z podobnym entuzjazmem w Szwajcarii jak w Polsce, powiedział między innymi: *„Przyjmowano inaczej. Wydaje mi się, że w sposób do waszego zupełnie przeciwstawny. U was, o ile mogę sądzić, mieliście dość bohaterów i robicie wiele, żeby ich było trochę mniej. W Szwajcarii natomiast robi się wszystko, żeby bohatera stworzyć"*.

Durrenmatt miał poczucie humoru. Z nieodłącznym cygarem w ustach (podobny był w tym do Frischa, który z kolei nie rozstawał się z fajką), potrafił zaskoczyć rozmówcę nieoczekiwanym sformułowaniem. Kiedy w jednym z wywiadów zapytano go, które z dokonań militarnych ocenia najwyżej, powiedział: *„Moje małżeństwo, które trwa dłużej niż Wojna Trzydziestoletnia"*. Durrenmatt, w przeciwieństwie do Frischa, miał udane życie rodzinne. Pamiętam jak podczas pobytu w Moskwie, dokąd pojechaliśmy na kongres pisarzy, Durrenmatt zjawił się z żoną, gdyż zbiegło się to z rosyjską prapremierą *„Wizyty starszej pani"*. Otóż pani Durrenmatt z domu Geissler powiedziała wówczas w rozmowie ze mną: *„Z zawodu jestem aktorką, ale zrezygnowałam z pracy w teatrze, bowiem jeśli się jest żoną Durrenmatta, trzeba cały swój czas poświęcić jemu"*. Mieli troje dzieci: syna i dwie córki. (Nawiasem mówiąc również Frisch miał z pierwszego małżeństwa trójkę: dwie córki i syna).

Ostatni raz widziałem Durrenmatta w maju 1990 roku na spotkaniu w polskim PEN-Clubie. Przyjechał ze swoją drugą żoną Charlotte Kerr (pierwsza jego żona zmarła), chodził już z pewnym trudem, był schorowany (od dawna cierpiał na cukrzycę), ale nie opuszczało go poczucie humoru. Zamieniłem z nim kilka słów. Przypomnieliśmy sobie nasze wcześniejsze spotkania. W pewnej chwili Durrenmatt powiedział: *„Najgorsze jest to, że nie mogę pić czerwonego wina. A i cygar nie mogę palić tyle, ile chciałbym. A co do twórczości... Nikt mnie nie czyta, nikt o mnie nie pisze, jestem legendą"*.

Nikt nie przypuszczał, że zaledwie w pół roku później Durrenmatta nie będzie już pośród żyjących. W cztery miesiące po jego śmierci zmarł także jego starszy o dziesięć lat kolega Max Frisch. Byli przyjaciółmi i konkurentami, w życiu politycznym często narażali się opinii i władzom swoimi bezkompromisowymi wypowiedziami. Dodajmy jednak, że nie łączyła ich przyjaźń zażyła. Mieli zupełnie różne temperamenty. Durrenmatt, szczęśliwy w życiu rodzinnym, należał do domatorów, niechętnie opuszczał swój dom i miejsce zamieszkania. Frisch był człowiekiem niespokojnym, chętnie podróżował, czas jakiś mieszkał w Rzymie i Nowym Jorku, kolejne jego małżeństwa (m.in. z pisarką austriacką Ingeborg Bachmann) były raczej nieudane. Durrenmatt mówił: *„Podobno są pisarze, którzy potrafią pisać nawet na dworcu kolejowym. Ja mogę pisać tylko we własnym domu. Nie napisałem do tej pory ani jednego słowa poza domem. Najlepiej czuję się w swoim pokoju przy biurku, wśród znanych mi sprzętów i rzeczy, które otaczają mnie od dawna"*.

Inaczej Frisch. Podróżując dużo i często, mógł pisać wszędzie: w pokoju hotelowym, pensjonacie i tam, gdzie znalazł kąt dla siebie. Pod tym względem przypominał naszego Jarosława Iwaszkiewicza, który mógł pisać w każdym miejscu. Sam byłem świadkiem jak w czasie pobytu w Kijowie powstawały, ogłoszone później w *„Przekroju"*, jego *„Wiersze kijowskie"*.

Dziś przychodzi nam mówić i pisać o tym wszystkim w czasie przeszłym. Durrenmatt i Frisch kandydowali do literackiej Nagrody Nobla, podobnie jak kandydował do niej zmarły także niedawno Graham Greene. Ich śmierć uwolniła Komitet Sztokholmski od dalszych rozważań na ten temat, ale nie uwolniła go od ciężaru odpowiedzialności za pomyłki i przeoczenia.

Jacek Wierzbiński

Jak dawniej kręcono filmy w Łodzi (2)

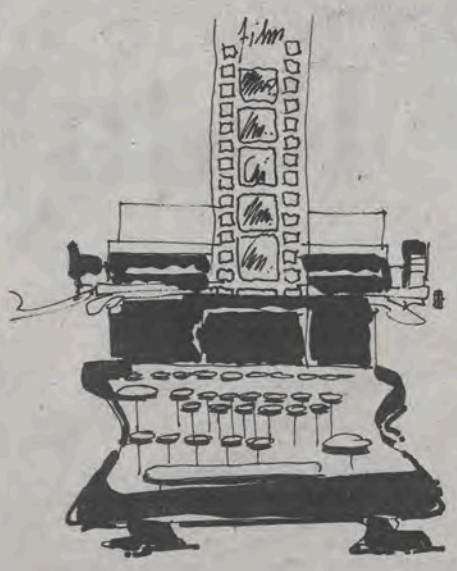

W 1927 r. indywidualne zmagania z oporną materią filmową próbowano po raz pierwszy zastąpić organizacją na większą skalę. Uczynił to Ignacy Czałczyński, warszawski aktor. Uruchomił on mianowicie wytwórnię pod nazwą „Koraj-Film". W celu zgromadzenia odpowiednich środków finansowych otworzył szkołę filmową, do której przyjęto 40 adeptów. Mieli oni uczyć się aktorstwa i brać udział w produkcji filmowej wytwórni. Aby jeszcze bardziej zachęcić uczestników i podnieść prestiż wytwórni, obiecywano wysokie gaże oraz kontrakty do Hollywood i do UFY. Na początku ograniczono się do regularnego pobierania opłat za kursy w wysokości 40 zł miesięcznie.

Odpowiednio organizowana opinia publiczna (rauty, przyjęcia, wydawanie własnego pisma „Nasz Film") sprzyjała zamierzeniom młodej wytwórni. Pisano przede wszystkim o filmie „Powrót Taty", gdzie I. Czałczyński grał rolę zbójcy. Wbrew zapewnieniom, obraz ten nigdy nie ukazał się na ekranach kin. Brak funduszy i mecenatu oraz nieudolność reżysera, który, choć "duszę całą wkładał w realizację filmów", nie potrafił sfinalizować żadnego ze swych projektów, doprowadziły w 1928 r. do bankructwa spółki. Próbowano ratować ją pod nową nazwą „Sola-Film" i przerzucić się na działalność typowo usługową. Jednak wytwórnia rozpadła się około kwietnia nie pozostawiając żadnych wyników swojej działalności. Wówczas to prasa zaczęła pisać o „Koraj-Filmie" przedstawiając jej twórców jako oszustów i naciągaczy. Wśród zarzutów pojawił się i ten, że nazwisko rodowe Ignacego Czałczyńskiego brzmiało Koraj, a imię Icek, co miało świadczyć fatalnie na rzecz właściciela wytwórni. Cała sprawa umarła jednak śmiercią naturalną. Jeszcze mniej szczęścia miała szkoła filmowa i wytwórnia „Ars-Film". Był to jeden z owych krótkotrwałych pomysłów, które oprócz wstępnego programu nie zdążyły zaprezentować nawet tytułu filmu, nie mówiąc o jakichkolwiek przygotowaniach do realizacji tegoż. „Ars-Film" powstał w październiku 1928 r. Nazwę swą zawdzięczał jednemu z reżyserów, Arsene Arsenieffowi, który przedstawiał się jako „ceniony zaszczytnie w świecie filmu". Kapitał próbowano gromadzić werbując naiwnych adeptów sztuki filmowej i ogłaszając konkurs na gwiazdę filmową i scenariusz. To ostatnie posunięcie świadczyło o tym, iż wytwórnia nie miała żadnego pomysłu na obraz i liczyła na szczęśliwy przypadek otrzymania ciekawej fabuły. Nie mając więc nic, również umiejętności właściwej organizacji, wytwórnia ta okazała się kolejnym meteorytem w próbach podejmowanych przez ludzi interesu stworzenia na terenie Łodzi prężnej placówki filmowej, jeszcze jednym nieudanym tworem wybujałej wyobraźni o filmie, którego realizacja miała być jedynie sumą interesującego tematu i właściwego doboru gwiazd.

Sytuacja w Łodzi była odzwierciedleniem typowego układu prowincjonalnego, w którym mogły egzystować jedynie krótkotrwałe imprezy obliczone na szybki zysk, a które z braku zaplecza technicznego i finansowego plajtowały zanim jeszcze zdołały cokolwiek wyprodukować. Niektóre z tych propozycji były nawet z początku uczciwe, ich założyciele przecenili jednak swoje możliwości zarówno organizacyjne, jak i pieniężne. Nikomu nie udało się namówić wielkiego kapitału, który w Łodzi istniał, do współpracy. Wytwórnie, pozostawione same sobie, z małą gotówką i wielkimi planami, egzystowały na granicy upadłości, borykały się z trudnościami, które od początku uniemożliwiały im jakikolwiek start.

Lata trzydzieste dla łódzkiej twórczości filmowej były nadal niełaskawe. Co prawda sytuacja wyglądała nieco lepiej, nakręcono więcej krótkometrażówek, ale było to również zasługą ludzi spoza Łodzi (PAT – Polska Agencja Telegraficzna) bądź ze stołecznej branży filmowej. Takim niewątpliwie „samotnikiem" był Aleksander Ford. W 1930 r. zrealizował on film pt. „Tętno polskiego Manchesteru – faktomontaż eksperymentalny". W tym samym roku ze stolicy przybyło „grono młodych filmowców", którzy założyli w grudniu wytwórnię „Vita-Film". Organizatorami byli Bolesław Miciński (były kierownik „Koraj-Film") i J.W. Malczewski (redaktor „Informatora Teatralno-Filmowego"). Na siedzibę i biuro wybrano lokal przy ul. Anny 26. Następnie zwerbowano artystów i statystów. Za udział w filmie zgłaszający płacili 100 zł miesięcznie. Od 120 udziałowców, wśród których znalazł się znany sportowiec łódzki Jan Śledź, uzyskano ponad 10 tys. zł. Mniejsze sumy (10 zł tytułem opłat biurowych) płacili statyści (113 osób), składający się z uczniów i uczennic szkół średnich oraz ekspedientek sklepowych. Następnie przystąpiono do kręcenia filmu „Raj utracony". Skończyło się na nakręceniu małego epizodu na cmentarzu katolickim w Łodzi. Gdy film jakoś nie mógł być ukończony, powołano w lutym komisję, która miała zbadać stan przedsiębiorstwa. W tym czasie B. Miciński wyjechał już do Warszawy. Upozorował to koniecznością nabycia specjalnych aparatów kinematograficznych w stolicy. Po przyjeździe zatelegrafował jeszcze o 3 tysiące i sumę tę otrzymał. Dopiero po tygodniowym milczeniu udziałowcy zaniepokoili się. Jeden z nich, J. Śledź, odszukał Micińskiego w Warszawie i dowiedział się, że pieniędzy już nie ma, ponieważ je wydał. Zawiadomiono wówczas urząd prokuratora. We wrześniu odbył się sąd, który skazał niefortunnego twórcę „Vita-Film" na 6 miesięcy więzienia i wykazał po raz nie wiadomo który naiwność adeptów X Muzy. Przy okazji wykryto, że Miciński prowadził na ogromną skalę produkcję pocztówek pornograficznych. Przekonywał on aktorki, że „grają główne role w filmie naukowo-obyczajowym „Kult ciała", którego zadaniem byłaby propaganda wśród społeczeństwa zasad higieny i sportów. Naiwne dziewczęta rozbierały się do tych zdjęć, wierząc, że grają do filmu, który spełni dużą rolę społeczno-wychowawczą.

W czasie, gdy afery nieuczciwej wytwórni bulwersowały całą Polskę, w Łodzi zaczął działać pasjonat filmu, fachowiec kinooperator, człowiek o niespożytej energii: Edward Kowalski. Nakręcił on szereg aktualności, które zakupione zostały nawet przez PAT i wyświetlane były jako dodatki w kinoteatrach całej Polski. W 1930 r. powstał dokument: „Uroczystości 10-lecia odzyskania niepodległości Polski w Łodzi", „Budowa pomnika Tadeusza Kościuszki". W 1934 r. powstał reportaż oświatowy „Łódź – miasto bawełny". Film ten, nakręcony przez PAT na zlecenie Izby Handlowej Polsko-Palestyńskiej, wysłano również do TelAwiwu.

W 1936 r. pojawił się w Łodzi niejaki Jończyk. Podając się za finansistę (podrabiał weksle) nawiązał współpracę z Niemcami, a następnie brał zaliczki na poczet mających powstać filmów od szeregu osób w Warszawie, Łodzi, Katowicach i Małopolsce. W Łodzi oszukał przedsiębiorcę kinematograficznego Mieczysława Halpera, który był kierownikiem kina „Palace". Afera ta, podobnie jak wiele innych, znalazła swój epilog w sądzie.

Wszystkie wspomniane wytwórnie podjęły się przedsięwzięć, których realizacja przekraczała ich możliwości. Przystępując do produkcji filmów bez gotówki, nie zdołały w krótkim czasie zgromadzić odpowiednich finansów. Fiasko ich poczynań było tym większe, im bardziej niesolidnie i nieuczciwie próbowano wyłudzić pieniądze. Szybko więc rozpadały się, nie pozostawiając żadnych śladów swej działalności. W przeciwieństwie do filmów fabularnych, produkcje krótkometrażówek kończyły się na ogół rezultatem pozytywnym. Większość z nich zaginęła jednak w zawierusze wojennej, pozostały tylko ślady na kartach dokumentów i opisy w gazetach.

Wszystkie trudy zakończone rezultatem pozytywnym lub porażką były świadectwem upartej walki o własny, łódzki kształt twórczości filmowej. Były zarazem odbiciem ogólnopolskich stosunków. Na przeszkodzie wielu realizacji stawała prowincjonalność miasta, ze wszystkimi wynikającymi stąd skutkami. Drugie co do wielkości miasto nie zapisało się w historii sztuki filmowej niczym szczególnym, jeśli chodzi o realizację filmów. Po prostu egzystowało, podejmując najczęściej nieudane próby.

Hanna Krajewska

OBLICZA TERPSYCHORY

czyli XI Łódzkie Spotkania Baletowe

XI Łódzkie Spotkania Baletowe goszczą w tym roku jedenaście zespołów baletowych. Pięć z nich, to zespoły zagraniczne, przybyłe do Polski z Węgier, Niemiec, Hiszpanii, Izraela i Kanady. 18 maja trzytygodniowe święto Terpsychory uroczyście zainaugurowali gospodarze, przedstawiając swą najnowszą realizację choreograficzną zatytułowaną **„Gershwin"**. Do jej stworzenia zaproszony został choreograf niemiecki, który swe pierwsze próby podjął pracując pod kierunkiem wielkiego Johna Cranko w Stuttgarter Ballett – Jurgen Heiss.

Koncert f-moll, „Błękitna rapsodia" i poemat symfoniczny „Amerykanin w Paryżu" G. Gershwina to muzyka, której ojczyzną jest Ameryka. Oglądając spektakl przygotowany przez Teatr Wielki w Łodzi trudno było w to uwierzyć. Nad całością przedstawienia wisiał bowiem duch prawdziwie niemieckiego poczucia humoru i niemieckiej, w nie najlepszym guście, estetyki. Łódzcy soliści tańczyli co prawda znakomicie, jednak ani oni, ani zespół baletowy, poza nielicznymi fragmentami, nie mieli okazji by w pełni zaprezentować swoje możliwości. Na ratunek spektaklowi przyszła doskonała oprawa plastyczna autorstwa **Ryszarda Kai,** która rozbudzając wyobraźnię widzów, uskrzydlała swoimi metaforami tancerzy. Szkoda, że niczym nie zapłodniła J. Heissa, w którego choreografii próżno byłoby szukać jakiejś przewodniej myśli czy choćby zgrabnego pomysłu.

Nie najlepiej wspominam także wieczór baletowy pt. **„Mozart a piacere"** zaprezentowany przez Polski Teatr Tańca z Poznania. Stało się tak za sprawą prawdziwego wstrząsu, jakim dla wszystkich było wykonanie Mszy C-dur „Koronacyjnej" W.A. Mozarta, w choreografii Waldemara Wołk – Karaczewskiego.

Taniec inspirowany tym pełnym dostojeństwa utworem był pusty, pozbawiony jakiejkolwiek logiki i celowości. O wiele bardziej interesująca była artystyczna wizja Symfonii koncertującej na skrzypce i altówkę Es-dur Mozarta, autorstwa Ewy Wycichowskiej. Dzięki różnorodności układu i sprawności warsztatowej tancerzy obejrzeliśmy balet dynamiczny, oparty na filozoficznej myśli, z delikatnie zasugerowanym humanistycznym przesłaniem.

W wieczorze poświęconym Mozartowi najlepsze wrażenie zrobiła IV Suita G-dur **„Mozartiana"** Piotra Czajkowskiego w choreografii Emila Wesołowskiego. Kompozycja w nastroju nieco sentymentalna i sielankowa, została obudowana taką samą choreografią. „Mozartiana" to spektakl elegancki, dystyngowany, jednak nie pozbawiony lekkości i humoru. Wykonany niezwykle precyzyjnie, z ogromną kulturą i poszanowaniem muzyki i sztuki tańca, pozostaje w pamięci jako szlachetny klejnot dedykowany pamięci wielkiego klasyka.

Niewątpliwym wydarzeniem XI Spotkań Baletowych stał się **„Skrzypek opętany"** według mimicznego dramatu Bolesława Leśmiana z muzyką Macieja Małeckiego, w wykonaniu poznańskich artystów. Wyrażona w „Skrzypku" niezwykła poezja tego modernistycznego twórcy zainspirowała Ewę Wycichowską do wspaniałego tańca i doskonałej choreografii. Powstał balet pełen symboli i zadumy, balet, którego świat baśni miesza się ze zdeformowanym obliczem świata zewnętrznego, którego filozofia zafascynowania przyrodą wiąże się nierozerwalnie z metafizyczną tęsknotą za Absolutem. Wycichowska swoją choreografią niezwykle pięknie wyraziła pragnienie wyzwolenia się z beznadziejnej niemocy i tragicznej pustki, jaką przesycona jest poezja Leśmiana i muzyka Małeckiego. Doskonałe w swej zwięzłości efekty obrazowe połączone z pełną metafor i dramatycznego napięcia muzyką, stworzyły nowy polski balet, który z pewnością wejdzie na stałe do repertuaru wielu teatrów i grup baletowych nie tylko w Polsce.

Wspaniałym dopełnieniem wizji choreograficznej była przesycona ekspresją, a jednocześnie wysublimowaną Leśmianowską symboliką, scenografia Ryszarda Kai. Ogromne zwycięstwo odniosła w „Skrzypku" Ewa Wycichowska jako choreograf i jako tancerka. Jej dynamiczny, ale także przepojony liryzmem taniec, dopełniał wielkości dzieła.

Klimat przywidzeń i nieuchwytnych wzruszeń rozwiał się, gdy na scenie Teatru Wielkiego pojawił się niekwestionowany mistrz tańca XX wieku (wiele lat kierowany przez legendarnego J. Cranko) – Stuttgarter Ballett. W interpretacji niemieckich artystów zobaczyliśmy **„Poskromienie złośnicy"** W. Szekspira z muzyką Kurta Heinza Stolze według Domenico Scarlattiego – jedną z ostatnich realizacji zmarłego w 1973 roku J. Cranko.

Doskonały warsztat i perfekcyjna technika wykonawców szła w parze z bogatą i interesującą choreografią, która jednakową radość sprawiała widzom i tancerzom Momentami jedynie pojawiły się pewne elementy niemieckiego humoru, które moim zdaniem, kłóciły się nieco z szekspirowskim smakiem. Jednak doskonali Beatriz de Almeida (Katarzyna) i Stephen Greenston (Petrucchio) wraz z całym zespołem dali prawdziwy koncert tańca i radości tworzenia. Przez długie lata będziemy go wspominać z jednakowym entuzjazmem.

Nieporozumieniem natomiast nazwałbym pojawienie się w Łodzi grupy tancerzy z Kanady. Toronto Dance Theatre, to jeden z tych zespołów, jakie w Kanadzie można spotkać na każdej niemal ulicy. Ich choreografie były wydumane, pseudointelektualne, puste i tak naprawdę tylko niektóre ich fragmenty nazwałbym tańcem. Najprzyjemniejsze wrażenie zrobił tancerz i choreograf Christopher House maleńkimi improwizacjami do muzyki F. Schuberta, a zatytułowanymi **„Schubert Dances"**. Jak na osiem realizacji, to jednak bardzo niewiele. Generalnie, w czasie występów Kanadyjczyków na scenie panował, mówiąc oględnie, nieład. Nie zrozumiałem zupełnie racji, które usprawiedliwiałyby sięgnięcie przez zespół i choreografa Davida Earle do Requiem d-moll W.A. Mozarta. Czy znakiem naszych czasów ma stać się fakt, przepraszam, profanacji muzyki Mozarta i treści jego dzieła?

Zupełnie nie trafiła też do mnie interpretacja utworu **„Fjeld"** Arvo Parta, pozbawiona jakiegokolwiek sensu, a wręcz urągająca treściom śpiewanych pieśni. Podobnie jak z Mozartem, tancerze nie poradzili sobie z J. Brahmsem. Braku myśli nie zastąpią najgenialniejsze kompozycje, o czym z pewnością nie wiedzą w Toronto Dance Theatre. W wypadku pozostałych „iluśtam" realizacji – zapominało się o nich już w trakcie przerwy. Zastanawia mnie tylko jedno: skąd u czternastoosobowej grupy młodych ludzi bierze się tyle tupetu?

Za tydzień omówienie kolejnych spektakli.

Michał Lenarciński

Epizod z dziejów Łodzi

Cegielniana afera

Wybory do samorządu w Łodzi odbyły się w 1919 roku i wówczas prezydentem Łodzi został wybitny działacz socjalistyczny i niepodległościowy **Aleks Rżewski**. Jego zastępcami zostali **Izydor Faterson** i inż. **Wacław Wojewódzki**. W skład Zarządu Miasta wchodziło jeszcze 8 ławników. Praca toczyła się z dużymi oporami, trzeba było pokonywać różne przeszkody, a i pieniędzy brakowało. Zachodziły też w składzie Rady Miejskiej i Zarządu Miasta liczne zmiany.

W kwietniu 1920 roku odszedł wiceprezydent **Izydor Faterson**, a jego miejsce zajął dotychczasowy ławnik inż. **Jeremiasz Klocman**. W lipcu 1920 roku ustąpił ławnik **Otto Alfred**, a na jego miejsce ławnikiem został **Leopold Arendt**. W lutym 1921 roku odszedł inż. **Jeremiasz Klocman**, obowiązki wiceprezydenta po nim przejął **Roman Stupnicki**. W październiku 1921 roku ustąpił ze stanowiska wiceprezydenta Łodzi inż. **Wacław Wojewódzki** i zastąpił go ławnik **Wieńczysław Badzian**, któremu jednak powierzono tylko pełnienie obowiązków. **Roman Stupnicki** i **Wieńczysław Badzian** ustąpili z początkiem 1923 roku. W tym czasie wybuchła też afera cegielniana **Leopolda Arendta** i **Mojżesza Helmana**.

Sprzedawali cegłę należącą do miasta, a nie wszystkie pieniądze wpłacali do kasy. **Leopoldowi Arendtowi** zarzucono, że sprzedał **Mojżeszowi Helmanowi** 1261000 sztuk cegły, a ten znaczną jej część, około 40 procent, sprzedał **Aleksandrowi Arendtowi**, bratu ławnika nadzorującego sprawy budowlane w Zarządzie Miasta. Cegłę sprzedawano również urzędnikom miejskim. Postawione wobec nich zarzuty badała specjalna komisja i uznała je za zasadne. Obu też wydalono 6 lutego 1923 roku: **Leopolda Arendta** z Zarządu Miasta, a **Mojżesza Helmana** z Rady Miejskiej. **Leopold Arendt** złożył 7 lutego 1923 roku oświadczenie, opublikowane w „Dzienniku Zarządu Miasta Łodzi", w którym uznawał postawione mu zarzuty za nieuzasadnione. Sprawa trafiła do prokuratora, a Wydział Budownictwa Zarządu Miejskiego w Łodzi pozostawał bez kierownika.

Sytuacja w Radzie Miejskiej i Zarządzie Miasta była dość skomplikowana, gdyż brakowało wiceprezydentów, a i skład Rady Miejskiej był znacznie uszczuplony. Ciągle brakowało quorum i sesje odbywały się w zasadzie dopiero w drugim terminie. W drugim terminie odbyła się też sesja Rady Miejskiej 18 stycznia 1923 roku, na której przyjęto rezygnację **Romana Stupnickiego** i **Wieńczysława Badziana** oraz zgłoszono kandydatury na wiceprezydentów: **Józefa Pogonowskiego** i inż. **Tadeusza Waryńskiego**.

Tadeusz Waryński był synem Ludwika Waryńskiego. Urodził się w Clarens w Szwajcarii w 1881 roku.

Do Polski powrócił w październiku 1919 roku. Początkowo pracował w Zarządzie Związku Strzeleckiego, a następnie prowadził spółdzielnię założoną przez pracujących inteligentów w Warszawie. Latem 1920 roku zaciągnął się do 201 pułku piechoty i jako żołnierz brał udział w wojnie radziecko-polskiej.

Po powrocie do cywila przez pewien czas pracował w wydziale propagandy zagranicznej w Prezydium Rady Ministrów, później był starszym referentem w wydziale szkół zawodowych dokształcających w Ministerstwie Wyznań i Oświecenia Publicznego. W tym czasie frakcja PPS w Radzie Miejskiej w Łodzi zgłosiła jego kandydaturę na wiceprezydenta miasta Łodzi.

Józef Pogonowski i inż. **Tadeusz Waryński** zostali wybrani wiceprezydentami na sesji Rady Miejskiej 18 lutego 1923 roku. Prezydent **Aleksy Rżewski** wprowadził inż. **Tadeusza Waryńskiego** na stanowisko dyrektora Wydziału Budownictwa Zarządu Miasta zwolnione przez **Leopolda Arendta**.

W lutym 1923 roku minister spraw wewnętrznych zawiesił Radę Miejską w Łodzi w jej czynnościach, gdyż na skutek odejścia wielu radnych nie była w stanie spełniać swej roli. Na przykład w 1922 roku ani jedno posiedzenie Rady Miejskiej nie odbyło się w pierwszym terminie, stale brakowało quorum. Nie można też było przeprowadzić wyborów uzupełniających, gdyż w 51 okręgach na 191 zaginęły listy wyborców. Trzeba więc było rozpisać wybory do Rady Miejskiej w Łodzi.

Wybory te odbyły się 13 maja 1923 roku. Chrześcijańska Jedność Narodowa zdobyła 24 mandaty, Narodowa Partia Robotnicza 20 mandatów, PPS 9, dwie partie niemieckie (NP Pracy i NP Mieszczańska) 7 mandatów, a ugrupowania żydowskie 15 mandatów.

24 lipca 1923 roku odbyła się sesja Rady Miejskiej, na której prezydentem został **Marian Cynarski**, wiceprezydentami: **Wacław Wojewódzki** i **Wiktor Groszkowski**.

Tadeusz Waryński w kilka lat później zakończył życie śmiercią samobójczą.

Eugeniusz Puchowicz

PS. Istnieją też podejrzenia, że nie była to śmierć samobójcza, a morderstwo.

Maciej Rataj – marszałek Sejmu

Politycy Drugiej Rzeczypospolitej

Maciej Rataj

„Nie zapomniana chwila. Jest Polska, jest Sejm – jej przedstawicielstwo. Wtłoczony w masę czułem się jednak dumny i szczęśliwy, iż jestem jednym z tych, którzy mają budować odrodzone państwo..." – pisał w „Pamiętnikach" Maciej Rataj. Czy spodziewał się wówczas, uniesiony szczęściem, że ten Sejm wyniesie go do najwyższych godności i przyniesie mu klęskę?

Urodził się w rodzinie chłopskiej, we wsi Chłopy, w powiecie Rudki, w województwie lwowskim, 19 lutego 1884 roku. Po ukończeniu nauki w rodzinnej wsi i w pobliskim Komarowie, wyjechał do Lwowa i uczęszczał do IV Gimnazjum im. Stanisława Staszica. Utrzymywał się z korepetycji, ale znajdował czas i na inne zajęcia. Już w IV klasie zaczął pisywać do „Przyjaciela Ludu", redagowanego przez Bolesława Wysłoucha. Nie zakończył nauki po zdaniu matury i wstąpił na Wydział Filozoficzny Uniwersytetu im. Jana Kazimierza we Lwowie. Działał w „Bratniej Pomocy" organizacji studenckiej nawiązał liczne kontakty z działaczami ruchu ludowego w Galicji: Bolesławem Wysłouchem, Janem Bojko, Janem Stapińskim, zestknął się z Wincentym Witosem.

Uniwersytet ukończył w 1908 roku i powrócił do IV Gimnazjum we Lwowie już jako nauczyciel łaciny, greki i propedeutyki filozofii. Współpracował z „Kurierem Lwowskim", również redagowanym przez Bolesława Wysłoucha. Jednak ani pensja nauczycielska, ani skromne honoraria nie wystarczyły na utrzymanie, a i zdrowie miał nadszarpnięte, przyjął więc posadę guwernera w majątku Czartoryskich w Pełkiniach. Długo tam nie popasał, bo z początkiem 1918 roku przeniósł się do Zamościa, gdzie nadal uczył w gimnazjum i redagował „Gazetę Zamojską". W Zamościu zastała go niepodległość. Tu został też wybrany posłem do Sejmu Ustawodawczego w 1919 roku z listy PSL „Wyzwolenie".

„Pierwsze moje kroki skierowałem do budynku sejmowego... zapisał w „Pamiętnikach". Roiło się w nim od robotników, którzy pracując dzień i noc, kończyli przerabianie dawnego wychowawczego Instytutu Maryjskiego na parlament, refektarza szkolnego na salę posiedzeń". Robiono jak to u nas w zwyczaju wszystko na ostatnią chwilę i z tego powodu opóźniano otwarcie sejmowych obrad.

Maciej Rataj przeniósł się do Warszawy i poświęcił pracy parlamentarnej. Spowodował, że grupy ludowców połączyły się w jeden Klub PSL, sam jednak z początkiem 1920 roku przeszedł do Klubu PSL „Piast", którym kierował Wincenty Witos. Latem 1920 roku, gdy wojska Michaiła Tuchaczewskiego stały pod Warszawą, wszedł w skład Rady Obrony Państwa oraz do gabinetu Wincentego Witosa, gdzie piastował stanowisko ministra wyznań religijnych i oświecenia publicznego oraz ministra kultury i sztuki. Nie była to czcza formalność, przyczynił się bowiem do powołania szkół powszechnych oraz do stworzenia systemu kształcenia nauczycieli.

We wrześniu 1921 roku powrócił do działalności parlamentarnej, wszedł do Rady Naczelnej PSL „Piast", a w 1922 roku został ponownie wybrany posłem na Sejm RP. 1 grudnia 1922 roku został marszałkiem Sejmu. Powiedział wtedy:

– Zaznaczam z całą otwartością i naciskiem, że nie będę się uważał za męża zaufania tylko tej większości, która głosy na mnie oddała, lecz będę starał się, żeby przez bezstronność pozyskać sobie zaufanie wszystkich stronnictw i wszystkich posłów...

Bernard Singer, wieloletni sprawozdawca sejmowy „Naszego Przeglądu", nazwał go *„strażnikiem regulaminu sejmowego"*. Pisał o nim: *„Głos jego rozstrzyga, gdy nasuwają się zawiłe kwestie w zakresie tematyki parlamentarnej. Jest specjalistą od procedury załatwiania interpelacji i nagłych wniosków".*

Nie było to łatwe. Oto jak sam Maciej Rataj opisywał ówczesne kierowanie pracami sejmu:

„... obstrukcja i hałas są mi na rękę. Konsolidują automatycznie innych. Nie ma czasu, miejsca i możności na rozbieżności i grę w głosowaniach. Referenci klubów stoją tuż obok trybuny, by mnie słyczeć wśród piekielnego hałasu i dają znaki swym klubom, jak głosować. Często nie słyszą mnie, tylko idą za skinieniem ręki. Dyryguję nimi, a oni salą. Nikt nie wie, nad czym się głosuje, ale głosuje. Od czasu do czasu wykluczam któregoś z hałasujących i boję się, by nie przestali hałasować, bo może być katastrofa. Wreszcie przegłosowane wszystkie poprawki. Odetchnąłem. Zarządzam przerwę dla wyniesienia teraz z sali wykluczonych i dla zorientowania się w przyjętych poprawkach, czy nie ma sprzeczności między nimi".

Dwukrotnie zastępował Maciej Rataj prezydenta RP. Raz w 1922 roku po zamordowaniu prezydenta Gabriela Narutowicza, powołał wówczas, za radą Józefa Piłsudskiego, gabinet z generałem Władysławem Sikorskim na czele. Zdaniem Bernarda Singera zawiódł wtedy oczekiwania, sądzono bowiem, że przyczyni się do okiełznania sił prawicy, powołując silnego premiera, a tymczasem znalazł człowieka, *„który by mógł wszystkich kokietować, który by nikogo nie zadrażnił"*. Drugi raz pełnił obowiązki prezydenta w maju 1926 roku, po ustąpieniu prezydenta Stanisława Wojciechowskiego. Wówczas również za namową marszałka Józefa Piłsudskiego powołał rząd z Kazimierzem Bartlem na czele. Ale to był początek końca parlamentarnej kariery Macieja Rataja.

W „Szopce Cyrulika Warszawskiego" z 1927 roku postaci Macieja Rataja przypisano taką oto piosenkę:

„Być marszałkiem przyznam szczerze,
Ta przyjemność mnie nie bierze,
Procedura ma swój smak,
Lecz jak długo można tak?
Wszystko poszło na kawałki,
Niby oba my marszałki,
To się widzi, to się wie,
Lecz po nim znać, a po mnie... nie!"

Józef Piłsudski, podejmując walkę z sejmem, nie mógł oszczędzać sejmowego marszałka. W „Pamiętnikach" Maciej Rataj wiele miejsca poświęca temu konfliktowi. W 1928 roku zakończył przewodzenie sejmowi i marszałkiem po nim został Ignacy Daszyński.

„Z wysokiego tytułu marszałka sejmu – pisze Bernard Singer – *pozostało mu zaledwie mieszkanie w budynku sejmowym, mandat z ramienia Piasta, miejsce w sejmowej komisji, przyjaźń marszałka Daszyńskiego i posła Niedziałkowskiego".*

W latach 1921-1931 był wiceprezesem Zarządu Głównego PSL „Piast", współtwórcą „centrolewu", przyczynił się do powstania Stronnictwa Ludowego i został członkiem jego Naczelnego Komitetu Wykonawczego, redagował tygodnik „Wola Ludu". W 1931 roku został redaktorem naczelnym „Zielonego Sztandaru" i był nim do 1939 roku. Podczas pobytu Wincentego Witosa na emigracji pełnił obowiązki prezesa SL.

Po kapitulacji Warszawy we wrześniu 1939 roku wstąpił do Służby Zwycięstwu Polski, wspólnie z Mieczysławem Niedziałkowskim przyczynił się do powołania Głównej Rady Politycznej przy SZP, reprezentacji sił politycznych podziemnej Polski. W listopadzie 1939 roku został aresztowany przez Gestapo, zwolniony w lutym 1940 i aresztowany w marcu, rozstrzelany 21 czerwca 1940 roku w Palmirach.

Jerzy Glinik

Dawna Łódź

Miasto gubernialne

Burmistrz miasta Łodzi Karol Tangerman nie posiadał się z radości, czytając po raz nie wiedzieć który list, zaczynający się od słów *„Szanowny Prezydencie"*. List pisany był 12 czerwca 1841 r. przez samego komisarza obwodu łęczyckiego Michała Radwana. To on właśnie z komisarzem Wydziału Administracyjnego guberni mazowieckiej Rozwadowskim zabiegał od pewnego czasu o wyniesienie Łodzi do rzędu miast gubernialnych. Prośbę komisarzy uznał za słuszną członek Rady Stanu Franciszek hr. Potocki i skierował wniosek o życzliwe rozpatrzenie sprawy do Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych i Duchownych. Zawarł w nim pochwałę burmistrza: *„pan Tangerman będąc burmistrzem od lat 18, czyli od czasu pierwiastkowej regulacji i zawiązku w mieście osad fabrycznych, przez dokładną, a nawet chronologiczną znajomość stosunków miejscowych, przez trafne w urzędowaniu postępowanie i akuratne wypełnianie swoich obowiązków, przez łagodne obchodzenie się z przybyłymi i osiedlonymi fabrykantami oraz dokładną znajomość języka niemieckiego, znakomicie przyczynia się do wzrostu miasta i jego kwitnącego stanu, a tym samym do powiększenia dochodów skarbowych i miejskich".*

Warszawski gubernator wojenny, gen. Aleksander Pisarew, do którego kompetencji należała opinia ostateczna, uznawszy iż nawet mniejsze miasta, jak Częstochowa, Łowicz, Zgierz i Włocławek od dawna korzystają z praw i prerogatyw miast gubernialnych, poparł prośbę i już 7 maja 1841 r. Rada Administracyjna Królestwa postanowiła *„miastu fabrycznemu Łódź w guberni mazowieckiej, obwodzie łęczyckim, położonemu, nadać prawa i prerogatywy, jakie z mocy postanowienia księcia namiestnika królewskiego z 30 maja 1818 r. służą miastom gubernialnym"*.

To właśnie postanowienie Rady Administracyjnej i program uroczystości ogłoszenia Łodzi miastem gubernialnym dołączone było do listu Michała Radwana. Na 18 czerwca zapowiadał swój przyjazd do Łodzi w towarzystwie komisarza Jana Rozwadowskiego. Tego dnia o 6. rano półgodzinnym biciem w dzwony miała obudzić mieszkańców zapowiedź wielkiej uroczystości. W półtorej godziny po umilknięciu dzwonów winni ruszyć do miasta dwaj policjanci konni, poprzedzani przez trębaczy, by zaprosić chętnych przed ratusz, gdzie miała się odbyć uroczystość ogłoszenia Łodzi miastem gubernialnym. W ostatniej chwili termin uroczystości został przesunięty na 23 czerwca 1841 r., lecz program nie uległ zmianie. Punktualnie o 10. przy dźwiękach orkiestry *„komisarz obwodu poprzedzany oficjalistami miejskimi i całym składem dotychczasowego Urzędu Miejskiego zgromadzonym mieszkańcom i cechom przed ratuszem, z wyniesionego nieco miejsca, w językach polskim i niemieckim"* wyniósł, z upoważnienia Rady Administracyjnej Królestwa, miasto Łódź do rzędu miast gubernialnych. Po ogłoszeniu proklamacji Jan Rozwadowski w towarzystwie zebranych nominatów i zaproszonych gości udał się do ratusza, gdzie powołał Karola Tangermana na urząd prezydenta, uwolnił dotychczasowych ławników od dotychczasowych obowiązków, mianując równocześnie Franciszka Traegera radnym miejskim, a Andrzeja Jeżewicza radnym kasjerem. W skład zarządu miejskiego weszli również radni honorowi Ludwik Geyer, Karol Traenkler, Karol Rejmann, Antoni Bittdorf i Stanisław Gozdowski wszyscy osiadli obywatele, właściciele nieruchomości, znani z dobrego i moralnego prowadzenia się. Po dwóch dniach rajcy zostali zaprzysiężeni i zobowiązani zarazem do podpisania deklaracji lojalności wobec cesarza i króla, której złamanie podlegało karze jak za zbrodnię stanu.

Zanim to nastąpiło, świeżo powołani dostojnicy miejscy w towarzystwie zgromadzonych w ratuszu osób, poprzedzani przez konną i pieszą policję udali się kolejno do kościołów katolickiego i ewangelickiego, by pomodlić się w intencji monarchy.

Mieszkańcy gubernialnego miasta Łodzi rozchodzili się do domów, wieczorny zmierzch rozjaśniała rzęsista iluminacja domów, przed ratuszem grała orkiestra, pod ratuszową wieżyczką bawili się zgromadzeni goście, pionierzy przyszłej potęgi miasta. Nie doczekał tego dnia twórca Łodzi przemysłowej, dzięki któremu niewielka osada rolnicza nad Łódką, Bałutką i Jasienią stawała się skupiskiem tkaczy bawełnianych. Rajmund Rembieliński, bo o nim tu mowa, zmarł przed kilku zaledwie miesiącami w Łomży 12 lutego 1841 r. W ciągu zaledwie 20 lat Łódź z biednego rolniczego miasteczka, liczącego w 1821 r. nie więcej niż 112 drewnianych domów i 799 mieszkańców, stała się miastem z 780 domami i 20000 ludności.

Andrzej Kempa

Wspomnienia, relacje, dokumenty

W sierpniu 1967 roku hamburski tygodnik „Der Spiegel" pisał:

„Otto von Bismarck założył fundamenty tradycji dyplomatycznej, która przetrwała reżimy monarchistyczne obu państw (Niemiec i Rosji). Czy to cesarstwo, czy też republika, czy też dyktatura – od tej chwili aksjomatem niemieckiej polityki zagranicznej miało być posiadanie w stolicy rosyjskiej samodzielnie myślących i znakomitych ambasadorów, którzy strzegliby bismarckowskiej spuścizny – owego przysłowiowego „kabla do Petersburga". (...) Hans Anton Kroll walczył tak, jak sobie wyobrażał bismarckowską taktykę w erze zimnej wojny, gdyż przez całe swoje życie pragnął być dobrym bismarckowcem".

Wprawdzie dziś stolicą jest Moskwa, ale zasada „kabla" pozostaje nadal aktualna.

Kim był wspomniany w tym cytacie Hans Anton Kroll?

Urodził się w 1898 roku w Bytomiu. Od najmłodszych lat poświęcił się dyplomacji. Gdy ukończył w 1923 roku 25 lat został wicekonsulem w Moskwie. Posłem Niemiec był wówczas hrabia Ulrich von Brockdorff-Rantzau, który przedstawił młodego niemieckiego dyplomatę komisarzowi spraw zagranicznych Jurijowi Cziczerinowi. Lata następne spędził młody Hans Kroll w Odessie w tamtejszym konsulacie. Lat tych nie zmarnował. Nauczył się języka rosyjskiego, poznał Rosjan, studiował ich cechy narodowe i obyczaje.

W 1925 roku znalazł się w konsulacie generalnym Niemiec w Chicago, a następnie w San Francisco. W 1929 roku powrócił do Berlina i pracował w MSZ. W 1936 roku został mianowany radcą ambasady Trzeciej Rzeszy w Ankarze i dzielnie służył interesom niemieckim w Turcji. Tak dzielnie, że naraził się poważnie Anglikom i gdy w 1945 roku znalazł się w obozie dla internowanych w Langwasser, angielski oficer zapewnił go, że już nigdy nie powróci do służby dyplomatycznej. A jednak powrócił.

Związał się z Unią Chrześcijańsko-Demokratyczną, z dr. Konradem Adenauerem, Hansem Globke, początkowo przyjaźnił się z ministrem spraw zagranicznych RFN – Heinrichem von Brentano. W 1953 roku został ambasadorem RFN w Belgradzie, skąd miał dogodne pole obserwacji ZSRR. Stał się wybitnym specjalistą od spraw ZSRR. W 1958 roku został mianowany ambasadorem RFN w Moskwie. Przebywał w Moskwie do 1962 roku, gdy został odwołany do Niemiec. Zmarł 8 sierpnia 1967 roku.

Pozostawił po sobie obszerne pamiętniki. Wybieramy z nich kilka ciekawszych fragmentów, które pokazują nie tylko ówczesne czasy i polityczne gry, ale też charakteryzują ludzi, z którymi w taki czy inny sposób Hans Anton Kroll zetknął się.

I. Długa rozmowa z Nikitą S. Chruszczowem

18 maja 1958 roku obchodziłem w Moskwie 60 rocznicę moich urodzin... Tego dnia Nikita Chruszczow poinformował mnie, że nazajutrz chce mnie przyjąć na pierwszej wizycie. Było to zaskakująco szybko, ponieważ premier Związku Radzieckiego z reguły zwlekał z przyjęciem nowo przybyłych ambasadorów. Nasza rozmowa trwała około dwóch godzin. Odbyła się bez tłumacza. Siedzieliśmy w jego przestronnym gabinecie na drugim piętrze w siedzibie rządu na Kremlu, przy długim stole, na którym stało kilka butelek wody mineralnej.

Chruszczow rozpoczął rozmowę od stwierdzenia, że dąży nie tylko do dobrych, ale i przyjaznych stosunków z Republiką Federalną. Jeżeli Niemcy i Rosjanie, dwa największe narody Europy, dojdą do ostatecznego porozumienia, to wojna w Europie będzie w przyszłości wykluczona, niezależnie od tego, co będą czynić inne państwa. Widzi on wiele możliwości wzajemnie uzupełniającej się współpracy, szczególnie w dziedzinie gospodarczej i technicznej. (...)

Zapewniłem premiera, że rząd federalny szczerze życzy sobie poprawy stosunków i zacieśnienia współpracy. W przeciwnym razie nie wysłano by mnie do Moskwy. Największą przeszkodą w pozytywnym kształtowaniu naszych stosunków jest jednakże polityka Radzieckiej Strefy Okupacyjnej (tak wówczas określano w Bonn Niemiecką Republikę Demokratyczną – przyp. red.), szczególnie zaś stanowisko Waltera Ulbrichta (I sekretarz KC SED – przyp. red.). W Republice Federalnej odpowiedzialnym za to czyni się rząd radziecki.

W przeciwieństwie do Andrieja Gromyki (minister spraw zagranicznych ZSRR – przyp. red.), Chruszczow przysłuchiwał się moim krytycznym uwagom na temat polityki Waltera Ulbrichta spokojnie, aczkolwiek z trochę ponurym wyrazem twarzy. (...)

Moje pierwsze wrażenia związane z jego osobą (Nikity Chruszczowa – przyp. red.): bardzo inteligentny, rzeczowy, w dyskusji nieustępliwy i cięty w słowie, zawsze wyraźnie dobrze poinformowany, a przede wszystkim pełen humoru. Przy całej wszechstronności i talencie okazał się jednak być człowiekiem prostym i naturalnym.

II. Bankiet na Kremlu 7 listopada 1960 roku

... podczas dorocznego wielkiego przyjęcia na Kremlu z okazji rocznicy Rewolucji Październikowej Nikita Chruszczow odwołał mnie na bok i w obecności ówczesnych pierwszych wicepremierów, Anastaza Mikojana i Aleksieja Kosygina, oświadczył mi, że przywiązuje wielkie znaczenie do naszej rozmowy z 18-października. Mogłaby ona stać się początkiem nowego etapu w stosunkach między obu naszymi krajami... Oczyszczenie stosunków niemiecko-radzieckich jest właśnie kluczem do zapewnienia pokoju w Europie i do rozwiązania problemu rozbrojenia. (...) Jeśli kanclerz dr Konrad Adenauer pójdzie za jego radą, i będzie miał odwagę definitywnie oczyścić stosunki niemiecko-radzieckie, to z pewnością wygra również następne wybory.

Przerwałem Chruszczowowi pytaniem, czy rzeczywiście życzy sobie, żeby kanclerz federalny odniósł zwycięstwo w wyborach? Odpowiedział na moje pytanie twierdząco, nie zawahawszy się ani przez moment. Mikojan i Kosygin przyłączyli się do niego spontanicznie. Powiedzieli, że kanclerz Adenauer jest jedyną osobistością polityczną w Republice Federalnej, która ma potrzebny autorytet i odwagę, aby przekonać naród niemiecki, że w interesie trwałego pokoju musi on przełknąć także parę gorzkich pigułek.

Moja długa rozmowa z Nikitą Chruszczowem i jego dwoma zastępcami tym bardziej rzucała się w oczy, że premier radziecki nie zamienił słowa z Walterem Ulbrichtem, ani z Otto Grotewholem, którzy podobnie jak pozostali prominenci komunistyczni, przybyli do Moskwy z okazji uroczystości Rewolucji Październikowej. (...) Również z przedstawicielem Chińskiej Republiki Ludowej, Lin Szao-Czi, drugiej podówczas osobistości po Mao Tse-tungu, Nikita Chruszczow nie zamienił ani słowa, tak samo jak z pozostałymi obecnymi na sali osobistościami komunistycznymi, z wyjątkiem Władysława Gomułki...

Po zakończeniu naszej rozmowy Nikita Chruszczow podszedł do mnie z dużym kieliszkiem wódki, wcisnął mi go w rękę i chciał się ze mną trącić. Zgodnie z rosyjskim zwyczajem oczekiwał, że opróżnię kieliszek jednym haustem. Ale wówczas cierpiałem na ostre zaburzenie układu krążenia. Dlatego powiedziałem:

–Czy nie możemy trącić się mniejszymi kieliszkami? Będzie lepiej dla nas obydwóch.

Ale on nie zgodził się.

–Niech pan zaraz wypije ten kieliszek. Nie wolno panu odmawiać.

I, zwracając się do Mikojana i Kosygina, dodał z lekką urazą:

–Ambasador nie chce się ze mną trącić.

–Ależ bynajmniej – powiedziałem – można jednak trącić się mniejszymi kieliszkami.

Ale Nikita Chruszczow nalegał.

–Założę się z panem, panie ambasadorze, że teraz wypije pan ten kieliszek.

I głośno, tak że mogli go usłyszeć wszyscy stojący wokół, a więc również Walter Ulbricht i Otto Grotewohl, dorzucił:

–Towarzysze, proszę, żebyście wypili z ambasadorem niemieckim, mianowicie za zdrowie kanclerza Adenauera.

Nie pozostawało mi zatem nic innego, jak wychylić kieliszek jednym haustem. Chruszczow promieniał. Cieszył się wyraźnie, że mnie nabrał.

... radziecki szef rządu przez swój toast za zdrowie niemieckiego kanclerza uczynił ważki gest polityczny. Nie – wątpliwie też było to jego zamiarem. Dał on przez to zgromadzonym na Kremlu przywódcom z bloku wschodniego, korpusowi dyplomatycznemu oraz prasie światowej na swój sposób do zrozumienia, że dąży do porozumienia z Republiką Federalną.

... Zaprzyjaźnieni ze mną ambasadorzy i przedstawiciele prasy pogratulowali mi tego – jak mówili – spektakularnego sukcesu. Jednakże w Bonn przyjęto mój raport niechętnie. (...)

Bankiet zakończył się około 2 nad ranem. Udano się do przyległej sali balowej na tańce. Podszedłem do ministra kultury, pani Furcewej, uroczej kobiety, która cieszyła się wśród moskiewskiego korpusu dyplomatycznego powszechną sympatią i złożyłem jej życzenia z okazji 50 rocznicy urodzin, o czym dzień przedtem poinformowała „Prawda". Powiedziałem jej komplement na temat jej młodego wyglądu:

–Jekatierino Aleksiejewna, pani naprawdę nie wygląda na kobietę pięćdziesięcioletnią. Sądzę, że „Prawda" po raz pierwszy podała nieprawdziwą wiadomość.

Roześmiała się.

–Co pan powiedział? Że „Prawda" po raz pierwszy zamieściła nieprawdziwą wiadomość? Bo się uśmieję!

W tym momencie podszedł do nas Nikita Chruszczow. Wziął mnie pod ramię i powiedział:

–Chcę z panem pomówić.

Ku niemałemu zdziwieniu obecnych gości, przede wszystkim dyplomatów i dziennikarzy, udaliśmy się do Ogrodu Zimowego Pałacu Kremlowskiego. Po paru minutach przyszli tam Anastaz Mikojan i Aleksiej Kosygin. Premier Chruszczow zamówił dla nas szampana, a dla siebie lekkie, czerwone wino kaukaskie, ponieważ, jak powiedział, lekarze nie pozwalają mu już używać mocniejszego alkoholu...

Z rozmowy, prowadzonej z całą szczerością i w przyjaznym tonie, odniosłem wrażenie, że rząd radziecki dąży do pojednania z Republiką Federalną, że jednak w najbliższym czasie można pod tym względem osiągnąć jedynie względnie ograniczone cele, ale wśród nich również złagodzenie dotychczas napiętej sytuacji w Strefie (NRD – przyp. red.).

Zanim powstaliśmy z miejsc, Aleksiej Kosygin poprosił o pozwolenie wygłoszenia toastu pod moim adresem. Po kilku komplementach na temat mojej dotychczasowej pracy na placówce moskiewskiej podniósł kielich i oświadczył dosłownie:

–Jest pan dla nas ambasadorem wszystkich Niemców!

U boku Nikity Chruszczowa, w towarzystwie obu pozostałych przywódców radzieckich, opuściłem około czwartej rano Ogród Zimowy. Ludzie tańczący na parkiecie rozstąpili się, aby zrobić nam przejście. Rozmowy umilkły. Radzieccy mężowie stanu odprowadzali mnie do wyjścia.

III. Wyprawa do daczy w Gagrze na Kaukazie

Doszła do mnie odpowiedź kanclerza na ostatni list Nikity Chruszczowa: ale tylko kopia, nie oryginał. Miałem ją jak najprędzej przekazać Chruszczowowi. Po co ten pośpiech? Czy nie można poczekać na następnego kuriera, który może mi przywieźć podpisany oryginał? W Bonn porozumiałem się z kanclerzem co do tego, że odpowiedź należy przekazać Chruszczowowi dopiero pod koniec kwietnia, po powrocie dr. Konrada Adenauera ze Stanów Zjednoczonych.

Przy okazji przyjęcia na Kremlu wydanego na cześć pierwszego radzieckiego kosmonauty Jurija Gagarina, poprosiłem Nikitę Chruszczowa o wyznaczenie terminu rozmowy. Był trochę zakłopotany i powiedział, że nazajutrz chce powrócić do swej letniej rezydencji w Gagrze (Kaukaz), żeby kontynuować przerwany urlop. Obiecał jednak możliwie szybko dać odpowiedź. (...)

Nikita Chruszczow dotrzymał słowa i już parę dni później powiadomił mnie, że przyjmie mnie w poniedziałek, 24 kwietnia 1961 roku, w swojej daczy w Gagrze. W towarzystwie Iljiczowa – kierownika wydziału do spraw Niemiec w radzieckim MSZ – udałem się 23 kwietnia samolotem na południe i po trzygodzinnym locie wylądowałem w Adler. Stamtąd pojechaliśmy do Soczi, gdzie przenocowaliśmy w nowoczesnym, wytwornym hotelu. Następnego dnia rano Nikita Chruszczow przysłał po mnie swojego szofera.

Po niespełna trzygodzinnej jeździe po dobrej drodze wzdłuż wybrzeża Morza Czarnego, które tu w uderzający sposób przypomina Riwierę Włoską czy Francuską – nie tylko ze względu na krajobraz, lecz także roślinność i uprawy rolne z winnicami, plantacjami herbaty, palmami, drzewami figowymi i bujnym kwieciem – przybyłem do letniej siedziby premiera radzieckiego. Była ona położona w wielkim, wspaniałym parku, w którym rosły niezwykłe okazy starych drzew, była naturalnie ogrodzona i dokładnie strzeżona. Nikita Chruszczow wyszedł mi paręset metrów na spotkanie. Był, odpowiednio do ciepłej, wiosennej pogody, ubrany urlopowo, w jedwabną, haftowaną koszulę ukraińską, bez marynarki i w sandałach. Powitał mnie serdecznie i poprosił, żebym na razie poszedł z nim do jego pawilonu sportowego, urządzonego niedawno w najnowocześniejszym stylu przez pewnego słynnego architekta moskiewskiego. Mieścił się w nim olbrzymi basen pływacki ze szklanym dachem i szklanymi ścianami, które za naciśnięciem guzika można było rozsunąć; następnie szereg sal sportowych i gimnastycznych, z przyległymi kabinami na prysznice i ubieralnie oraz wspaniały, duży taras z widokiem na znajdujące się w bezpośredniej bliskości Morze Czarne.

Najpierw zagraliśmy partię kometki, przy czym Chruszczow okazał się niezwykle zręcznym. Potem zaprosił mnie, żebym z nim popływał. Kazał przygotować dla mnie spodenki kąpielowe, płaszcz i ręcznik kąpielowy. Byłem jednak zadowolony, że zabrałem własne spodenki, bowiem te drugie, zbyt obszerne, pewnie zgubiłbym podczas pływania. Woda morska w basenie była zmieniana co 3 dni i miała stale temperaturę 26 stopni. Skoczyłem głową w dół z wysokiej trampoliny, a gdy się wynurzyłem, zobaczyłem Chruszczowa pływającego o parę metrów ode mnie. Widok był kapitalny: Chruszczow założył sobie na ramię starą oponę samochodową i pluskał się w wodzie, zadowolony i różowiutki jak dziecko. Zawołał do mnie, że lekarz zalecił mu zakładać oponę, wówczas pływanie mniej wyczerpuje. Powinien pływać dwa razy dziennie, rano i wieczorem przed kolacją, po 30-40 minut...

Chruszczow zaprosił mnie na obiad, w którym uczestniczyła także jego żona oraz Anastaz Mikojan. Podano różne rosyjskie przekąski, wśród nich delikatną wędzoną stawridę – rybę, która podobno żyje tylko w Morzu Czarnym, zupę, mięso z pierwszymi szparagami, kompot, kawę. Z napoi: wódkę oraz białe i czerwone wino kaukaskie.

Obiad przekształcił się powoli w degustację win. Gdy specjalnie chwaliłem wytrawne wino gruzińskie, Mikojan powiedział:

–Pańska ocena jest interesująca. Widocznie ma pan taki sam smak, jak pański kanclerz. Gdy jesienią 1955 roku był w Moskwie, także wolał to wino od wszystkich innych.

Na to Nikita Chruszczow:

–Niech pan powie, panie ambasadorze, czy dr Adenauer nie zrozumie tego źle, jeśli w formie przyjaznego gestu prześlę mu parę skrzyń tego wina?

Odrzekłem:

–Dlaczego miałby zrozumieć fałszywie taką uprzejmość? Z pewnością się tym ucieszy.

Tak też było. Kanclerz federalny potwierdził to podczas najbliższej rozmowy ze mną i dodał, że zrewanżuje się Chruszczowowi i Mikojanowi kilkoma skrzynkami najlepszych win niemieckich. Upoważnił swego podsekretarza stanu Hansa Globke, żeby dokonał wyboru win. W parę dni później Globke przekazał mi listę. Gdy ją czytałem, ślinka napłynęła mi do ust...

Radzieckie skrzynie z winami nadeszły do Bonn parę tygodni później, jeszcze przed wyborami do Bundestagu. Dlatego musieliśmy utrzymać w tajemnicy tę „wymianę win" – która więcej może mówiła o politycznych i ludzkich stosunkach między Adenauerem i Chruszczowem niż niejeden długi artykuł w gazecie – żeby gest ten nie został fałszywie zrozumiany i żeby go nie wykorzystano w celu atakowania kanclerza podczas kampanii wyborczej.

IV. W Berlinie budują mur – 13 sierpnia 1961 roku

Z Bonn wraz z żoną udaliśmy się do naszej letniej rezydencji w Bawarii. Wakacje tym razem miały trwać bardzo krótko. Spędziliśmy około tygodnia w Widdersberg, kiedy 13 sierpnia 1961 roku spadło na nas jak grom z jasnego nieba: w Berlinie przez środek miasta zbudowano mur. (...) Nie oczekałem na wezwanie, lecz natychmiast wróciłem samochodem do Bonn, aby uzyskać ostatnie wskazówki od kanclerza i ministra spraw zagranicznych. (...)

... przed moim odlotem do Moskwy pan Heinrich von Brentano zapytał mnie, czy do nas, ambasadorów państw zachodnich w stolicy radzieckiej, doszły jakieś informacje o planach zbudowania muru. Odpowiedziałem, że w związku z wyjątkowym wzrostem fali uchodźców – od czerwca tego roku do 30000 ludzi miesięcznie – wielokrotnie zadawaliśmy sobie pytanie, jak długo zarówno Kreml, jak i Walter Ulbrich będą tolerować ten katastrofalny dla Strefy (NRD – przyp. red.) rozwój sytuacji, nie podejmując środków zaradczych? (...)

Moi, zazwyczaj dobrze zorientowani informatorzy moskiewscy, po raz pierwszy chyba zawiedli. Nie było pewnych informacji... Wprawdzie wiedziano, że w końcu czerwca 1961 roku, w Moskwie na nieoficjalnej naradzie spotkali się szefowie rządów i ministrowie spraw zagranicznych państw bloku wschodniego. Jednakże nad czym przy tej okazji dyskutowano i co postanowiono – tym razem, w przeciwieństwie od innych podobnych spotkań, nie było przecieków. Chociaż nie brakowało sensacyjnych pogłosek krążących w korpusie dyplomatycznym, a przede wszystkim wśród przedstawicieli prasy. Tak więc z różnych stron dochodziły informacje, że państwa zachodnie, w każdym razie Amerykanie, byli poinformowani przez Kreml o tej decyzji na kilka dni przed wzniesieniem muru. Mówiło się następnie, że były wysoki komisarz i pierwszy ambasador amerykański w Bonn John J. McCloy, który w lipcu 1961 roku przebywał w ZSRR odbywając podróż informacyjną i którego Nikita Chruszczow przyjął na dłuższej rozmowie w swej letniej rezydencji na Kaukazie, został przy tej okazji w głównych zarysach poinformowany przez szefów rządu radzieckiego o planowanej „przeszkodzie dla uchodźców". Ale chociaż wszelkimi sposobami starałem się znaleźć potwierdzenie tej ważnej politycznie pogłoski, okazało się to niemożliwe. (...)

Wkrótce miałem okazję rozmawiać z radzieckim premierem o murze. Powiedziałem mu, że nie tylko ludność Berlina, ale cały naród niemiecki uważa mur, przeciniający jego dawną stolicę, za prowokację i prosiłem, żeby nieco więcej brał pod uwagą uczucia narodowe naszego narodu. Ku memu zaskoczeniu Nikita Chruszczow przyznał, że rozumie te uczucia narodu niemieckiego. Mówił dosłownie:

–Wiem, że mur jest brzydką sprawą. Toteż któregoś dnia zniknie. Jendkaże dopiero wówczas kiedy znikną przczyny, które doprowadziły do jego wzniesienia. Cóż miałem uczynić? Ponad 30 tysięcy ludzi i to najlepszych i najzdolniejszch ludzi z NRD, opuściło w licpu ten kraj. Nie trudno obliczyć, kiedy załamałaby się gospodarka wschodnioniemiecka, gdybyśmy nie przedsięwzięli czegoś przeciwko tym masowym ucieczkom. Istniały tylko dwa rodzaje środków zaradczych: przerwanie transportów lotniczych lub zbudowanie muru. Pierwszy spowodowałby dla nas poważny konflikt ze Stanami Zjednoczonymi, który mógłby ewentualnie doprowadzić do wojny. Tego nie mogłem i nie chciałem ryzykować. Pozostał więc tylko mur. Nie chciałbym również przed panem ukrywać, że ja byłem tym, który w ostatecznej konsekwencji wydał rozkaz. Ulbricht wprawdzie od dłuższego czasu, a w ostatnich miesiącach coraz natarczywiej, napierał na mnie, ale nie chciałbym się ukrywać za jego plecami. Są one dla mnie za wąskie..

Wybrał i opracował:
Benedykt Pazik

SEVEN® CARD
PIERWSZA W POLSCE PLASTIKOWA KARTA RABATOWA

SEVEN®

PRZEZ 12 MIESIĘCY STAJECIE SIĘ PAŃSTWO "PANAMI" SWOICH PIENIĘDZY

Czy to w Laboratorium Analiz Lekarskich, czy też w Biurze Tłumaczy, przy usługach poligraficznych czy też grawerskich, w sklepie spożywczym, odzieżowym, motoryzacyjnym, gospodarstwa domowego czy też innej branży, w kwiaciarni czy taksówce, w czasie wizyty u lekarza czy gdy zechcecie jechać limuzyną, w czasie poszukiwania pracy czy mieszkania, gdy chcecie Państwo naprawić samochód, założyć autoalarm czy CB Radio, skorzstać z pomocy drogowej czy holowniczej.
Gdziekolwiek byście się Państwo nie znaleźli, w sieci SEVENCARD będziecie traktowani ekskluzywnie i pierwszorzędnie a co najważniejsze

UZYSKACIE ZAWSZE RABATY AŻ DO 20% !!!

Seven zajmuje się obecnie tylko najważniejszą i najbardziej konkretną rzeczą:

Państwem

Pod koniec roku losowane będą wysokie nagrody

CONSULTING MARKETING
SEVEN GmbH, ul. Piotrkowska 67, 90-422 Łódź
Tel. 004842-337384, Fax.004842-337384

manager magazin

33 73 84

Firma SERTAL posiada w ciągłej sprzedaży:

NA RATY!!!

SERTAL

Pralki, lodówki, zamrażarki ,Telewizory i video „Sony", „Samsung", „Philips", „Panasonic". Sprzęt gospodarstwa domowego,Oświetlenie Elektronarzędzia, pompy wodne, hydrofory.I wpłata 20% na 12 rat.HURT I DETAL w firmie „SERTAL". Pawilon Łódź, ul. Franciszkańska 99 57-60-47

Planeta

Biuro Turystyki i Rekreacji
Łódź, ul. Piotrkowska 182 m 510,
tel. 36-68-71

Stała linia autokarowa z Łodzi do:

Hamm, Essen, Monachium, Giessen, Norynbergi, Osnabruck, Manuheim, Frankfurtu Stuttgartu, Wurzburga, Hannoweru, Kolonii i innych.

Atrakcyjne ceny. Zapraszamy!

Nowo powstały

SKLEP ŻEGLARSKI

Łódź
ul. Pabianicka 240 A, tel. 81-35-87
zaprasza

miłośników żeglarstwa

od dnia 1 czerwca 1991 r.

i oferuje:
bogaty wybór lin sztywnych i miękkich
okucia i osprzęt żeglarski
toalety chemiczne
silniki przyczepne
i stacjonarne renomowanych firm
sprzęt pływający
środki ratunkowe

CENTRUM USŁUG TURYSTYCZNYCH

w Łodzi Pl. Wolności 10/11 oferuje atrakcyjny wypoczynek wczasowy:
–w kraju:
dowolne miejscowości nadmorskie i górskie, ceny skierowań już od 1.000.000 zł.
–za granicą:
Austria, Czechosłowacja, Jugosławia, Włochy, ZSRR, Bułgaria, Grecja, Turcja, Francja, Hiszpania, Rumunia.
–ponadto proponujemy kolonie i obozy młodzieżowe,
–ceny konkurencyjne

Oferta specjalna z okazji Dnia Dziecka
SUPER – PREZENT
– po raz pierwszy w Polsce, rewelacyjne pojazdy elektryczne i mechaniczne firmy BENEFIT (Włochy)
– samochody, skutery itp.
Ceny promocyjne!
ZAPRASZAMY! Codziennie od 9.00–17.00

Uwaga Handlowcy

KUBUŚ

– płyn do mycia naczyń

wysokowydajny, przyjemny w użyciu
w opakowaniach 0,5 l, również „luzem"
do nabycia w każdej ilości
w Łódzkich Zakładach Chemicznych

„Organika"

93-531 Łódź, ul. Cisana 21a
telefon 848560 telex 886499

Uwaga: Stosujemy bonifikaty!
Zapraszamy

MAREDI MB sc

AUTO SERWIS MAREDI MB

zaprasza do swoich zakładów
Z-d 1 Łódź ul. Strykowska 33/43
tel. 55-56-55
Z-d 2 Łódó ul. Wieniawskiego 70a
tel. 48-73-84

POLECAMY:

- Salon sprzedaży samochodów krajowych i zagranicznych nowych i używanych – komis
- Naprawy FIAT 126p (naprawy gwarancyjne)
- Naprawy samochodów krajowych i zagranicznych w zakresie: – Blacharstwo – Lakiernictwo – Diagnostyka – Smarowanie, wymiana olejów Z-d 2 – Przeglądy rejestracyjne Z-d 1 – Sklep części zamiennych Fiat 126 p – ciągła sprzedaż oleju firmy SHELL opony i akcesoria firmy PIRELLI – Pomoc drogowa

POLLENA Ewa

NATURALNE SKŁADNIKI ZDROWE KOSMETYKI

zaprasza do naszej HURTOWNI

EWA PLUS

Łódź, ul. Tuwima 98, tel. 74-64-37, telex 88-67-69, fax 32-43-90 godziny otwarcia: 7.00 19.00 codziennie,7.00 15.00 soboty,oferujemy wyroby naszej fabryki: ziołowe szampony do włosów, kolorowe emalie do paznokci,kremy „Gejsza",balsamy do rąk „Alabaster" zestawy kosmetyków,„Tramp" do pielęgnacji stóp,artykuły producentów krajowych,artykułów producentów zagranicznych,umowy,długie terminy płatności,bonifikaty, transport

Biuro Turystyczne
„METODY"

Wczasy językowe + nauka obsługi komputera + noclegi + wyżywienie + przejazd autokarem + wypoczynek w atrakcyjnym schronisku górskim

14-dniowy turnus – 1.600.000 zł.

ANGIELSKI - NIEMIECKI - FRANCUSKI

Informacje: tel. 86-36-01 w godz. 17.00 – 21.00
osobiste: Biuro Tłumaczy „Alians"
Łódź, Narutowicza 32

Uwaga Tapicerzy!
Uwaga Kaletnicy!

PZ „Kamatex"

organizuje wyprzedaż tkanin różnych, m.in. tapicerskich i kaletniczych po atakcyjnych cenach
Wyprzedaż odbywa się w siedzibie „Osnowa-International" Sp. z o.o. w Łodzi przy ul. Wólczańskiej 125 w godz. 8.00 –14.00

P.H. VERMONT

zaprasza do swojej hurtowni
i poleca do sprzedaży po atrakcyjnych cenach:

taśmę suwakową importowaną z główkami 2.600 zł/1 mb.

-okulary przeciwsłoneczne i lecznicze ok. 100 wzorów w cenie od 13.000 zł
-galanterię ozdobną dla pań i dziewczynek w cenie od 2.500 zł/szt.
-obuwie damskie, męskie, dziecięce na różne pory roku
-konfekcję damską i męską (swetry, bluzki, spodnie, piżamy)
-regały i stelaże na wyposażenie sklepów i magazynów importowane oraz krajowe.

Duże partie towarów dostarczamy pod wskazany adres.

Zapraszamy i życzymy udanych zakupów
Łódź, ul. Przybyszewskiego 251 tel. 36-80-78

REKLAMA w „ODGŁOSACH" TO REKLAMA PRZEZ CAŁY TYDZIEŃ!

Tygodnik „ODGŁOSY" oferuje usługi w zakresie reklam

PROMOCYJNE CENY

Reklamy na kolumnie ogłoszeniowej (ceny podstawowe):

6 tys. zł za 1 cm^2
cała strona (1000 cm2) – 6 mln zł
minimalna powierzchnia ramki 25 cm^2
ogłoszenia drobne – 3 tys. zł za słowo

Reklamy na pierwszej stronie – 50% dodatku (powierzchnia nie większa niż 150 cm^2), na innych stronach niż kolumny ogłoszeniowe – 30 % dodatku

Proponujemy także nowy atrakcyjny rodzaj reklamy w formie artykułów pisanych przez naszych dziennikarzy. Rodzaj publikacji, jak też opracowanie graficzne uzgadniamy z kontrahentami.
Koszt tej reklamy:

całostronnicowa – 10 mln zł
półstronicowa – 6 mln zł
ćwierćstronicowa – 4 mln zł

Wykonujemy opracowania graficzne reklam – przy reklamie całostronicowej 10% dodatku, pozostae 25 & dodatku.

Reklamy przyjmowane są w siedzibie redakcji:
Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5, XI piętro, pokój 1103, tel. 36- 52-44
oraz w tygodniku „Agora", Piotrkowska 94 tel. 32-61-79 p. nr 11.
Forma płatności do uzgodnienia.

●Marian Krzak został odwołany ze stanowiska prezesa Powszechnej Kasy Oszczędności Bank Polski. Stało się to – jak głosi komunikat PAP – z powodów merytorycznych i pod nieobecność odwoływanego. Marian Krzak – specjalista od spraw finansowych, członek międzynarodowej organizacji – i tak długo utrzymał się na urzędzie. Wszakże był ministrem w czasach PRL.

●W Instytucie Warzywnictwa w Skierniewicach skradziono 5 obrazów, wypożyczonych z Muzeum Sztuki w Łodzi. Przypominamy stare przysłowie: – Dobry obyczaj – nie pożyczaj! – a jeśli już pożyczysz, to przynajmniej sprawdź jak są pilnowane. W pałacu księżny Joanny Grudzińskiej w Skierniewicach, w którym mieści się Instytut Warzywnictwa przed złodziejami chronił zamek typu „Łucznik".

●Niedawno wiceprzewodniczący Rady Naczelnej SdRP – Tomasz Nałęcz złożył dymisję. Dymisji nie przyjęto. Poprzednio mówiło się, że Aleksander Kwaśniewski rozchodzi się z Leszkiem Millerem, ale się to nie sprawdziło. Spory w SdRP świadczą, że powoli staje się to normalna partia polityczna. Kłócą się w niej tak samo, jak w innych.

●Wydarzeniem niedzielnego wieczoru (19.05) był Kabaret Olgi Lipińskiej „Ku pokrzepieniu serc". W poniedziałek wielu ludzi wydarzenie to komentowało niemal jednoznacznie: – Ciekawe, jak długo utrzyma się ten kabaret? – Niektórzy żałowali, że nie nagrali tego programu na kasetę wideo, bo może było to już ostatni raz. Recenzenci – przynajmniej do środy (22.05) – program ten pominęli milczeniem. Tylko w „Gazecie Wyborczej" ktoś podpisujący się (sew) uznał, że kabaret „był słuszny", ale przyznał się, że on się nie śmiał. Bo też i za bardzo nie było do śmiechu!

●Na sesji sejmowej, która zaczęła się 16.05. poseł Andrzej Kern wyraził pogląd, że Unia Demokratyczna wzorem partii amerykańskich powinna wziąć sobie symbol i powinien to być... tchórz. Poseł Jacek Kuroń miał mu to za złe, a także prosił, aby podczas jego przemówienia posłowie nie klaskali. Daty wyborów wprawdzie jeszcze nie wyznaczono, a już rozpoczęły się przedwyborcze harce. Zapowiada się ciekawie!

●Poseł Bogdan Łukasiewicz, rolnik z zawodu, który między innymi utrzymuje się z hodowli owiec, zapowiedział, że będzie musiał pozbyć się swego stada. Hodowla owiec stała się nieopłacalna. Nie może się nam to pomieścić w głowach. Wszak na czystej, żywej wełnie w Anglii i Australii zbito wielkie majątki.

●Zespół „Maanam" wyruszył w trasę. Ogłoszono wezwanie do fanów, że „wnoszenie na koncerty magnetofonów, kamer foto i video, siekier, gazów bojowych, długich noży – niewskazane". W Łodzi koncert zespołu „Maanam" miał się odbyć 26.05. w Hali Sportowej. Nie odbędzie się, bo został odwołany, gdyż sprzedano tylko kilkadziesiąt biletów. Posiadacze magnetofonów, kamer, siekier i długich noży woleli pozostać w domu. I może mieli rację?

●W IX LO im. Jarosława Dąbrowskiego w Łodzi uznano, że nauczycielka języka rosyjskiego Anna C. powinna otrzymać odznaczenie. Oba związki nauczycielskie na szczeblu dzielnicy wyraziły na to zgodę, ale sprzeciwiła się Komisja Zakładowa NSZZ „Solidarność". Przypomniano sobie,że podczas stanu wojennego Anna C. źle wyrażała się o „Solidarności", że również podczas stanu wojennego wyjechała na studia doktoranckie do ZSRR i tam napisała pracę doktorską. Wiadomo, że język angielski najlepiej poznaje się w Anglii, francuski we Francji, niemiecki w Niemczech, a rosyjski w Rosji. Ale dziś znajomość języka rosyjskiego fatalnie się kojarzy. Nikt nie zwrócił uwagi, że praca doktorska Anny C. nosiła tytuł: „Leksyka rolnicza ze znaczeniem procesu pracy we współczesnym języku rosyjskim" i miała charakter pracy specjalistycznej. Ciekawi nas fakt, znajomością jakich języków legitymują się członkowie komisji, która postanowiła ukarać Annę C. za znajomość języka rosyjskiego?

●36 lat temu rozpoczął działalność Studencki Teatr Satyryczny „Pstrąg" w Łodzi. Z okazji rocznicy w „Spatifie" spotkali się najstarsi członkowie zespołu „Pstrąga".

B. M.

Alfabet Badziaka

Stefania Bruzdzińska – właścicielka „Honoratki"

Była to dama eteryczna i nad wyraz sympatyczna, tudzież nobliwa od wczesnego ranka, a pod wieczór, kiedy coraz intensywniej poczynały działać puste kalorie, jakie potajemnie zażywała przez cały dzień, stawała się całkiem rozkoszna. Wtedy z reguły pożyczałem od niej stówkę z przeznaczeniem na zupełnie przyzwoitą kolacyjkę w Spatifie, w towarzystwie nieco mniej od niej przyzwoitych pań. Pani Stefania, wręczając dyskretnie banknot życzyła mi zawsze wygranej w ruletkę. Ta „żeńska ruletka" polegała na tym, że mężczyzna wiedział z grubsza z kim do lokalu wchodzi, lecz nigdy nie wiedział z kim wyjdzie. Solidność wymagała, żeby w dniu wypłaty zaciągnięty dług zwrócić, co też czyniłem regularnie a przezornie.

Pani Stefania stworzyła w „Honoratce" niepowtarzalną atmosferę, wszyscy stali bywalcy czuli się tam bezpieczni, ważni i wyróżnieni. Ja też. Należałem do tej elitarnej warstwy, która wraz z filiżanką kawy, otrzymywała nierzadko koniak rozrzedzony w czarnej cieczy. Tak, że dla nas konspira to żadna egzotyka. Wiadomo, pokolenie byliśmy stanowczo wojenne.

Kiedyś z rozpędu dziennikarskiego napisało mi się, że kawiarnia ta przypomina buduar Pani Dulskiej, skrzyżowany nieco z domem podświetlonym czerwoną latarnią, co poniewczasie uznałem samokrytycznie za bardzo krzywdzące, jako że kiedykolwiek zjawiła się w tym przybytku jakaś piękna nieznajoma w celach przesadnie towarzyskich, natychmaist współwłaściciel lokalu, mąż pani Stefanii, Bolesław, wychodził naprzeciwko do telefonu w „Hałce", wykręcał numer „Honoratki", żona podejmowała słuchawkę i wręczała ją wyróżnionej damie, którą w ten światowy sposób wypraszano elegancko z lokalu.

Była to jak widzimy instytucja wysoce ekskluzywna, tylko dla wybrańców losu. Tymczasem wbrew moim pierwotnym obawom, przyrównanie „Honoratki" do buduaru pani Stefania przyjęła z zachwytem, przepraszając mnie, iż klosz za szybą wystawową jest zbyt bladoróżowy. Pani Stefania była kobietą subtelną, delikatną, nigdy nie otarła się o żaden PSS, ani tym bardziej o ŁZG „Bary". Akcje moje od tamtego wydarzenia bardzo poszły w górę, porcje koniaku w kawie zostały zwielokrotnione, częstotliwość pożyczek również. Reasumując robiłem w tej kawiarni za zubożałego barona. Ale barona.

W „Honoratce" aż roiło się w latach sześćdziesiątych od gwiazd. Poznałem tam Barbarę Kwiatkowską i Beatę Tyszkiewicz, Joannę Jędrykę i Elżbietę Czyżewską oraz tuzin modelek, dwa tuziny filmowców, adwokatów, pisarzy i okołoartystycznych studentek oraz niesamowitą osobliwość, czyli człowieka z brodą bez brody – słynnego Żołnierkiewicza. Oprócz tego, że był sławny w całym kraju, nikt nie wiedział kim naprawdę jest.

Barbarę Kwiatkowską, pierwsze poważniejsze odkrycie Romana Polańskiego, najszybciej wywiało z „Honoratki" w świat. Śliczna była, tylko ręce miała dziewczyny z Błaszek. Ona to właśnie pierwsza udowodniła, że młodym Polkom obca jest wszelka ksenofobia i wyszła za mąż za niemieckiego milionera. Zapoczątkowała w ten sposób matrymonialny styl kariery całych batalionów dziewcząt okołofilmowych z „Honoratki" oraz sfederowanych w grandhotelowym KOC-u (Korpusie Obsługi Cudzoziemców).

Można śmiało orzec, że pani Stefania była czułą patronką tego pierwszego krocza Polski w stronę Europy. Dzięki niej „cichodajki" z „Honoratki", czy „kocówki" z Grand Hotelu założyły przyzwoite, mieszczańskie domy rodzinne w Rzymie, Paryżu, Brukseli czy Rotterdamie. Dziś jako czcigodne matrony z kopą dzieci, a także i wnuków, tworzą zdrowy, patriotyczny trzon tamtejszej Polonii. Okazuje się raptem, że ten światowy drenaż dupek ze Wschodniej Europy znacznie wyprzedził światowy drenaż mózgów z naszego obozu, który nawiasem nigdy swą dynamiką nie przerósł tego pierwszego.

Ferudin Erol – po prostu Turek nie chrzczony

Najgłośniejszy z całej trójki artystycznie uzdolnionych synów tureckiego cukiernika Mehmeta Nuri Erola Fazli Oglu, który posiada od lat swój zakład w Łodzi przy ulicy Pomorskiej, dawniej Marcelego Nowotki. Jego brat Enver jest wybitnym projektantem wnętrz, Jakób słynnym plakacistą, a sam Feridun znanym reżyserem filmowym, telewizyjnym i teatralnym. Cała trójka postury raczej mikrej, ale duch w nich tęgi. I niespokojny. Szczególnie dynamiczną naturą wyróżnia się Feri. To właśnie on był twórcą słynnych telewizyjnych „Sekscesów" – cyklicznego programu, w którym, ku zdumieniu widzów, nawet popularna w swoim czasie dziennikarka Krystyna Zielińska, zajmująca się z niesłychaną pasją sprawami zaopatrzenia rynku w towary, dziś się to nazywa handlem, próbowała publicznie się obnażać. Sukces reżysera tego widowiska polegał na tym, że znalazł on świetny sposób na obrzydzenie ludziom pornografii.

Największym jednak osiągnięciem artystycznym Feriduna było małżeństwo z Barbarą Połomską. Nic to, że nie był to związek zbyt trwały, jak każdy na ogół związek między utalentowanymi ludźmi sztuki. Z wyjątkiem Sofii Loren, która też chyba z Feridunem za długo by nie wytrzymała. Mimo tego bowiem, że się bardzo spolonizował i zeuropeizował, stosunek do kobiet ma on jednak dość orientalny.

Kiedy zapytałem jego ojca, Mehmeta Nuri, który z synów jest egzemplarzem najbardziej udanym, otrzymałem odpowiedź również w stylu orientalnym, że spośród synów najbardziej lubi swoje wnuki. Zresztą dzieje tego człowieka jak i całej rodziny, zasługują na specjalny serial telewizyjny. Feridun już od dłuższego czasu odgraża się, że coś takiego o umocnieniu przyjaźni polsko-tureckiej nakręci, ale póki co, na razie utrwala i pogłębia prywatne więzi ekonomiczne między Warszawą a Istambułem. Już nawet tytuł serialu został ustalony i będzie brzmiał: „Potomkowie ślepego Hassana".

Historia wędrówki rodziny Erolów Fazli Oglu z małej czarnomorskiej miejscowości Rize do Łodzi jest naprawdę interesująca. Zapoczątkował ją dziad Ishak, który małą łódeczką przepłynął Morze Czarne i dotarł aż do Sewastopola. Otworzył tam cukiernię i kawiarnię, posiadającą 53 marmurowe stoliki. To było coś. Ale bolszewicy wkrótce doszli do wniosku, że ludu pracującego nie wolno zanadto rozpieszczać smakołykami, potłukli marmurowe stoliki, zniszczyli piekarnię, resztę ciastek zjedli na miejscu, aż z tego przesytu się pochorowali i zaczęli podejrzewać tureckiego burżuja o celowe zatrucie czekistów. Podejrzanego o szpiegostwo i sabotaż cukiernika aresztowali i dopiero na interwencje ambasady tureckiej go zwolnili.

Stary Ishak udał się ze swym synem Mehmetem na Zachód, czyli aż do Włodawy nad Bugiem. Otworzyli tam cukiernię i na nowo zaczęli prosperować. Nie upłynęło pięć lat, a 17 września 39 roku znów bolszewicy znaleźli się w ich cukierni. Postąpili z nimi identycznie, jak w Sewastopolu, lokal zdemolowali, produkcję zabrali i skonsumowali, właścicieli podejrzanych o szpiegostwo aresztowali i na interwencje ambasady tureckiej znów uwolnili.

Turcy z Włodawy przenieśli się do Zamościa. Tam na prośbę Armii Krajowej otworzyli nową piekarnię, która wypiekała chleb m.in. także dla żołnierzy podziemnej armii. Nie minęło pięć lat, kiedy znów pojawili się w ich zakładzie bolszewicy i postąpili rutynowo, jak zwykle. A ojciec z synem, też jak zwykle, udali się znów trochę dalej na Zachód, czyli do Łodzi. Z tym, że towarzyszył im pewien Rumun, nazwiskiem Mikołaj Grasz. Trafił on do tej rodziny w sposób niebywale prosty. W czasie wojny został wywieziony z Bukaresztu na roboty do Niemiec, tam zaprzyjaźnił się z pewnym Polakiem i po wyzwoleniu rodak nasz zaproponował mu, ażeby udał się z nim razem do naszego kraju. Rumun się zgodził, wsiedli w pociąg i wysiedli aż w Zamościu. Polak przeprosił na dworcu przyjaciela, że go na chwilę zostawi i wyjdzie do miasta rozpatrzeć się, co i jak. Nigdy już nie wrócił. Rumuna zatrzymała miejscowa milicja i nie bardzo wiedząc, co z nim począć, zaprowadziła go do Turka.

Dziś już mogę zdradzić, że te smaczne, tureckie ciasteczka w cukierni pana Mehmeta Erola wypieka od 45 lat autentyczny Rumun. Sprzedaje je często ciotka Jugosłowianka, a jeszcze do niedawna stałym klientem i przyjacielem domu był właściciel jatki z drobiem, niejaki Szamir, Żyd, bliski kuzyn obecnego premiera Izraela. To niezmiernie sympatyczne, stare, samotne małżeństwo żydowskie zmarło niedawno.

Feridun potrzebował kiedyś do filmu żywą kurę i poprosił Szamira, żeby mu ją dostarczył. A Szamir na to: Kura ma być w całości, połówka czy ćwiartka?

Na zakończenie dodam, że cała rodzina Erolów ciężko przez życie doświadczona, bardzo kulturowo z Polską związana, na wszelki wypadek jednak obywatelstwo tureckie zachowuje. Nigdy nie wiadomo, kiedy bolszewicy znów przyjdą.

Lewym okiem

Rozmowa z burmistrzem

Ze wszystkich stron naszego kraju dochodzą głosy, że samorządy lokalne nie mogą podejmować żadnych decyzji, bo nie dysponują żadnymi, ale to żadnymi środkami. W takiej sytuacji trudno się dziwić, a nawet należałoby pochwalić, że samorządy chwytają się najróżniejszych sposobów dla zdobycia pieniędzy. A oto wywiad, jakiego udzielił, a przynajmniej mógł udzielić prasie, burmistrz jednego z niewielkich miasteczek na przykład w województwie olsztyńskim.

Redaktor: Czy pan burmistrz mógłby powiedzieć jaki program rozwoju zakładacie na najbliższe lata dla waszego miasta?

Burmistrz: Naturalnie, mamy już taki program. Najpierw zlikwidujemy bibliotekę i czytelnię publiczną.

Red: To ma być krok w kierunku rozwoju?

Bur: Oczywiście. Lokal, zajmowany przez tę czytelnię powinien dawać o wiele większe korzyści miastu. Zlikwidujemy czytelnię, a pomieszczenia puścimy na licytację. Zaczniemy, powiedzmy, od pół miliona złotych za metr kwadratowy, kto da więcej.

Red: Myśli pan, że ktoś da więcej?

Bur: Już jednego oferenta mamy, chce tam zakładać nowoczesny, prawdziwie europejski pornoshop.

Red: Chyba, że tak. A czy myśleliście także o prywatyzacji miejscowego przemysłu i handlu?

Bur: Oczywiście. Tylko, że handel, to u nas zawsze był prawie że prywatny, a przemysłu nie ma. Wobec tego postanowiliśmy prywatyzować jezioro.

Red: Czy można prosić o szczegóły?

Bur: Jezioro, jak pan wie, jest niczyje. Niczyje, to znaczy państwowe, a państwowe, to znaczy niczyje, wie pan. Na początek więc puścimy je w ajencję, a potem utworzymy spółkę, z ograniczonym czymś tam.

Red: Mam nadzieję, że to nie prezes będzie ograniczony...

Bur: Prezesa znajdziemy drogą konkursu, na razie jest już ajent, wnosi kaucji pięć miliardów złotych, to nam pozwoli w najbliższym sezonie nie zamykać jeszcze miejscowej szkoły podstawowej.

Red: Na jakie zyski liczy przyszły ajent starający się o jezioro?

Bur: No, na przykład karta wędkarska. Ustaliliśmy już ceny. Roczna opłata milion złotych, ponadto za każdą złapaną rybkę taksa pół miliona.

Red: Ojejej, czy to nie wygórowane ceny?

Bur: Proszę bardzo, niech pan policzy. Jedna rybka daje w ciągu trzech lat około dziesięciu tysięcy potomstwa, czy za dziesięć tysięcy ryb pół miliona złotych to za dużo? A to jest nasza ewidentna strata, którą musimy sobie jakoś wyrównać.

Red: No tak, oczywiście. A jakie jeszcze korzyści może dać jezioro?

Bur: Można w nim na przykład moczyć nogi, sto tysięcy za godzinę, oczywiście za jedną nogę, za dwie – dwieście tysięcy. Można, poza tym, sprzedawać wodę na beczki.

Red: A po co komu woda z jeziora? Jest przecież bardzo brudne.

Bur: No właśnie, świetnie się nadaje do podlewania ogródków zamiast nawozów naturalnych.

Red: A wie pan, że z tym jeziorem to inicjatywa godna poparcia. Myślę, że w skali kraju należałoby pomyśleć o prywatyzacji wszystkich wód terenowych z Wisłą na czele. Czy macie jeszcze coś do sprywatyzowania tu na miejscu?

Bur: Myślimy jeszcze o drodze. Wie pan ten dojazd od stacji kolejowej do naszego miasta. Sprzeda się ją jakiejś jednoosobowej spółce...

Red:... która na pewno od razu podniesie standard tej drogi, jej jakość.

Bur: To to może nie, ale będzie pobierać się opłaty od każdego, kto wstąpi na drogę.

Red: Od pieszych użytkowników także?

Bur: Od pieszych użytkowników taksa będzie potrójna. Taki piechur przecież znacznie dłużej wędruje drogą z miasta do stacji niż samochód, dłużej więc użytkowuje naszą drogę, za to trzeba płacić.

Red: Widzę, że samorząd tutejszy jest pełen inicjatyw. Jakie cele zamierzacie realizować po zebraniu potrzebnych środków?

Bur: No więc najpierw będziemy musieli powołać szereg organów niezbędnych dla prężnego administrowania terenem. Nie mamy na przykład Rady Ochrony Środowiska, jakieś dwadzieścia etatów. Następnie centrum budowy pomnika...

Red: Czyj to będzie pomnik?

Bur: Na razie jeszcze nie wiemy. Dalej, Rada Współpracy z zaprzyjaźnionym miasteczkiem sąsiedzkim, też około dwudziestu etatów. W ogóle pomysłów mamy dużo, na każdym posiedzeniu Rady pada kilka projektów.

Red: A w dalszej kolejności?

Bur: Panie redaktorze, to już przekracza moje kompetencje. Dalszej kolejności już przecież nie dożyjemy.

Włodzimierz Krzemiński

Jedno danie Anny-Marii

Sposób na tanią gazetę

Dziś środa. W środę kupuję „Gazetę Wyborczą". Żeby o tym nie zapomnieć, zaznaczyłam zielonym flamastrem w swoim ściennym kalendarzu wszystkie środy i wszystkie poniedziałki, w które z kolei kupuję „Głos Poranny". Kilka razy zdarzyła mi się wpadka, a potem świeć, człowieku, oczami przed zgromadzeniem sąsiedzkim, że przerwało się z powodu postępującej sklerozy sąsiedzki obieg prasowy.

Z tą prasą na mojej klatce schodowej wyszło spontanicznie. Klatka nieliczna w mieszkania, tylko dwupiętrowa, po trzy rodziny na piętrze, znamy się wszyscy doskonale, wcale przy tym nie zaglądając sobie w garnki. Wymieniamy poglądy na różne aktualia, poczynając od tematu życia poczętego, a kończąc na temacie coraz to nowych podwyżek pytaniem: jak żyć? Pożyczamy też różne rzeczy, a to maszynkę do mielenia mięsa, a to szklankę cukru; no i właśnie, tak zaraz po Nowym Roku zapukała do mnie sąsiadka i mówi: Anno-Mario, proszę mi pożyczyć gazetę z programem telewizyjnym na cały tydzień, bo zapomniałam kupić.

Tyle, że to był wybieg. Pretekst do następującej propozycji: A wie pani co, Anno-Mario? a jakbyśmy się tak zmówiły w sprawie gazet? Po co i pani, i ja, mamy wydawać co sobota tysiąc złotych na to samo? A gdyby tak pani w jedną sobotę, a ja w drugą? Program telewizyjny wraz z gazetą miałybyśmy o całe pięćdziesiąt procent taniej.

I stało się. Potem do naszej dwójki dołączyła sąsiadka z pierwszego piętra, następnie jeszcze jedna. Na nieformalnym zebraniu towarzyskim, odbytym między pierwszym a drugim piętrem ustaliłyśmy, że będziemy kupować trzy razy w tygodniu „Wyborczą", raz „Dziennik", raz „Express" i raz „Głos Poranny". Pełen przekrój prasy, a czysty zysk dla każdej rodziny.

Kiedyś, w tamtych złych czasach, w których się nikomu jeszcze (z wyjątkiem oczywiście działaczy struktur podziemnych) nie śnił pan Jerzy Grohman w randze pełnomocnika prezydenta RP do spraw reprywatyzacji chociażby z tego prostego powodu, że pana Grohmana można było zobaczyć na własne oczy i całkiem z bliska popijającego małą czarną bez śmietanki w kawiarni „Honoratka" na Moniuszki, w sąsiedzkim obiegu krążył jedynie „Przekrój". Pożyczało się go sobie nie ze względów oszczędnościowo-ekonomicznych, ale ze zwykłej ludzkiej życzliwości. Były to bowiem naprawdę czasy złe: pan Grohman do „Honoratki" przychodził pieszkom, gazeta codzienna zmonopolizowana przez RSW kosztowała monopolistycznie pięćdziesiąt groszy, zaś „Przekrój" był u pani kioskarki wyłącznie spod lady, i żeby go nabyć, należało panią kioskarkę demoralizować suwenirem w postaci tabliczki czekolady 22 Lipca, co zresztą często okazywało się zabiegiem niewystarczającym, bo pani kioskarka stawiała dodatkowe, twarde ultimatum: „Przekrój" tak, jeżeli i „Trybuna Ludu", plus „Żołnierz Wolności" oraz tygodnik „Przyjaźń".

O „Przekroju" już dziś nawet nie myślę, ani nie zerkam w jego kierunku, chociaż na ladach kiosków jawnie zalega od niedzieli do niedzieli. Okazało się, że doskonale mogę się bez niego obejść. W miarę utwierdzania się oraz krzepnięcia kapitalizmu, sukcesywnie z miesiąca na miesiąc eliminowałam poszczególne, dotąd czytane gazety i tygodniki. Obliczyłam, że gdybym chciała czytać tygodniowo wszystko, co czytywałam w tamtych złych, przedkapitalistycznych czasach, to musiałabym wydawać tydzień w tydzień powyżej dwudziestu tysięcy złotych na samą prasę. O, takiego wydatku moja pensja w żaden sposób nie wytrzyma. Ale po co mi, do diabła, aż dwa dzienniki, jeden łódzki i jeden warszawski? Wystarczy łódzki, no nie?, w nim też mam serwis papowski, z którego dowiem się, co tam, panie, w polityce?

Albo taki „Film" i „Ekran"? Ludzie, toż to w ogóle bezsens, bo czy ja teraz chodzę do kina. Jeżeli synowi fundnę dwa albo trzy razy w miesiącu bilet do „Zachęty" na film premierowy (a co film, to jakoś zawsze tak dziwnie się składa, że premierowy za dwadzieścia albo piętnaście tysięcy bilet), to już mój budżet domowy aż się skręca i upomina mnie srogo ludzkim głosem: uważaj, Anno-Mario, bez szaleństw proszę, inaczej będziesz musiała pożyczać przed pierwszym. Więc to naprawdę nie ja to mój budżet każe mi ustosunkowywać się do powyższych potrzeb kulturalnych alternatywnie. Albo syn pójdzie do kina, albo ja. Razem, we dwójkę, matka z synem, nie! i basta.

Ale po co mi film, kino, „Konfrontacje"? Co to w ogóle za potrzeba kulturalna? Z jakiej się ona epoki wywodzi?

Nasza była pani od kultury, która w ciągu ministerialnej kadencji wielokrotnie odbywała występy w telewizji, i nikt jej, jak wiceministra Kapery od razu po pierwszym nawet po piątym nie odwołał, oświadczyła na odchodnym z pełnym znawstwem w temacie kultura, że „telewizja jako pierwsza trafiła pod strzechy i nie wolno lekceważyć jej kulturowych wpływów. Od telewizji bowiem bardziej niż od czegokolwiek innego zależeć będzie poziom aspiracji kulturalnych naszego społeczeństwa".

Telewizor trafił pod moją osobistą strzechę dwadzieścia jeden lat temu. Lazuryt, rocznik 1970, do usług. Mogę więc obecnie do woli się kulturalnie aspirować, oglądając na przemian raz program pierwszy, raz program drugi za jedyne niecałe pięćdziesiąt patoli kwartalnie. Taka potężna porcja kulturotwórcza dzień w dzień i za taki psi grosz? Czego chcieć więcej?

Igrzysk i chleba, podobno wołano za czasów Nerona (i nie tylko Nerona). Igrzyska mamy, dzień w dzień, zwłaszcza oglądając sejmowe debaty o aborcji (i nie tylko o aborcji). A chleb? Chleba naszego powszedniego na razie nie brakuje; jak wykazują dane GUS-u spożycie jego oraz kartofli wzrasta proporcjonalnie do spadku spożycia mięsa. Podobno nawet są sklepy, w których ajenci borgują chleb na kredyt nie oprocentowany. Prowadzą zeszycik, notują: taka a taka emerytka dnia takiego a takiego bochenek chleba dwa tysiące sześćset złotych, odda po otrzymaniu renty. Emerytka taka a taka potwierdza podpisem, zabiera chleb i odchodzi. Czy całuje w rękę swego dobroczyńcę, tego nie wiem. Zresztą, może to jakieś podłe ploty, rozsiewane przez zajadłych przeciwników programu Balcerowicza.

A tak, na marginesie, to mnie osobiście, jeśli czegoś brakuje w telewizji, to właśnie owych występów naszej byłej pani od kultury. Polikwidowała ona, co prawda, to i owo, jakiś tam zamek sprzedała nie swój wcale, i różne tam takie inne, ale za to jak ładnie nasza pani mówiła o kulturze! Moje kochane teatry, mówiła; moje kochane biblioteki, mówiła; kochany panie Leszku też mówiła do Leszka Długosza, i moi kochani twórcy również mówiła. Proszę zwrócić uwagę: do wszystkich twórców: kochani „po równo", żadnego nie wyróżniając ani nie preferując publicznie.

A teraz to już nikt tak nie mówi. I chyba żaden z twórców nie czuje się kochany. Poza jedynym Janem Pietrzakiem. Dopiero co słyszałam w telewizji jego wypowiedź, że jednak marzy mu się całkiem inna lokalizacja na kabaret, nie belwederska, ale śródmiejska, no i zaraz, na drugi czy trzeci dzień odzew w tym temacie samego prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej i zlecenie prezydenckie dla naczelnika Śródmieścia, żeby ten kabaret Jana Pietrzaka dostał lokal jak najszybciej, bo prezydent chciałby znowu się pośmiać przy tych kawałkach, w których Jan Pietrzak mówi: „wyszłem i przeskoczyłem". Telewizja pokazywała te kawałki z wyszłem i przeskoczyłem, Jana Pietrzaka oraz śmiech do łez na te kawałki prezydenta.

Jan Pietrzak więc jest, i jest kochany; czy „Forum" jest nadal? Nawet nie wiem. „Forum" to ja skreśliłam ze swojej prasowej listy dawno, po zeszłorocznych podwyżkach. Wraz z lawinowo rosnącymi kolejnymi podwyżkami skreślałam lawinowo kolejne tytuły, różne Literatury na świecie, Przeglądy kulturalne, i inne. No, a obecnie kupuję tę „Wyborczą" co środa, co poniedziałek „Głos" w ramach sąsiedzkiego obiegu taniej gazety, a dla siebie całkiem prywatnie, nie zważając na koszty, co czwartek postkomunistyczną „Politykę".

Anna - Maria

E. L. Skalnik. Z tygodnia na tydzień (2)

Trzy pokoje z kuchnią w starym budownictwie

Dzień był ładny, słoneczny, ociepliło się, minęły majowe chłody. Jadwiga ucieszyła się. Może dziś będzie spokojniej niż do tej pory, może sobie choć odrobinę odpocznie? Ale gdzie tam. Gdy przybiegła pani Basia i powiedziała, że jest już lista zwolnionych, ale ona dokładnie nie wie, kto jest na tej liście, Jadwidze niemal serce stanęło. Trzęsącymi się rękoma przekładała bezsensownie papierki na tym swoim od tylu lat zasiedziałym biurku. A przez głowę gnały myśli. Pobiec do kierowniczki, do dyrektora, protestować, prosić, pytać, żądać, wyjaśniać, domagać się, rzucić im w twarz te wszystkie dyplomy uznania, jakimi ją tak hojnie podczas minionych lat obdarowano; odwołać się, walczyć? Ale z kim? W jaki sposób? Gdzie? U kogo? To już nie tamte czasy; teraz jak chcą, to zwolnią. Setkami zwalniają po fabrykach, nazywa się to grupowymi zwolnieniami... Wydawało się jej, że pani Basia patrzy na nią z politowaniem. A może tylko jej się tak wydawało? Teraz już nie wiedziała.

Postawiła siatkę z zakupami na taborecie, usiadła przy kuchennym stole, oparła ręce na blacie i patrzyła gdzieś w daleką przestrzeń. Chwila ciszy. Dziadki się pewnie zdrzemnęły, dzieciaki Anity bawią się u nich. Spokój, choć przez chwilę. Tak tego potrzebowała. Nie usłyszała nawet, jak cicho uchyliły się drzwi. Weszła matka. Zatrzymała się na środku kuchni. Jadwiga podniosła głowę.

Stało się coś? zapytała z niepokojem w głosie.

Nie. Słyszałam tylko, że wróciłaś. I... matka zawiesiła na chwilę głos list przyszedł od Zygmunta.

Jadwiga podniosła głowę.

Od kogo? Od Zygmunta? I nagle ją olśniło, to przecież brat pisał. A cóż to się stało, że pan pułkownik sobie o nas przypomniał. Latami nie pisał, nie dawał znaku, nie przyznawał się do nas i teraz nagle napisał, pewnie coś mu zagraża, to sobie przypomniał, że ma matkę i ojca.

Nie mówiłabyś tak. Jemu też nie było lekko. Miał różne kłopoty. Wojsko to ciężka służba. A teraz... matka nie dokończyła, widać było, że coś ją gnębi, ale Jadwiga nie chciała tego dostrzec. Dławiła ją złość, poczuła, że może się wreszcie wyładować na daleko mieszkającym bracie i zrobi to. Ciężko mu było powiedziała z wyraźną złośliwością w głosie tak? Mieszkanie służbowe, kantyna, służbowy samochód, wszędzie znajomości, w kolejkach stać nie musiał, ordynans wszystko mu załatwiał, polowania, bankiety, wyjazdy, dzieci odchowane, zadbane, a nie tak jak u nas wszystko na kupie. I mama to nazywa ciężkim życiem?

Matka stała bezradnie na środku kuchni i Jadwidze zrobiło się jej żal. Wszystkie matki są takie same pomyślała i głośno zapytała: Cóż on tam pisze, ten pułkownik?

Ano pisze, że w wojsku też zwalniać będą i on musi, rozumiesz, musi już iść na emeryturę, choć wcale tego nie chce. On zupełnie nie wie, co może robić, jak wyjdzie z wojska. On kocha wojsko i jemu będzie bardzo ciężko. On się może z tego pochorować...

Tak pisze? przerwała jej Jadwiga.

Nie powiedziała matka z gniewem ale ja umiem czytać to, czego on nie napisał.

Wyszła. Ale tym razem drzwi zamknęła odrobinę za głośno. Jadwiga odetchnęła. W końcu to nie jej zmartwienie i nie będzie się gryzła Zygmuntowymi kłopotami. Klucz w zamku zachrobotał, wróciła Anita z Markiem. To było jej największe zmartwienie. Niemal każdego dnia patrzyła na to małżeństwo. Nie miała cienia wątpliwości, że Anita ma ciężkie życie z tym swoim napuszonym pacanem. No cóż, widziały gały, kogo brały. Wszyscy ją uprzedzali, nikomu w rodzinie Marek się nie podobał. Nagle poczuła, jak serce jej staje, jak robi jej się zimno, jak ta myśl ciągle powracająca, ciągle odrzucana, staje się niemal wyraźnym przeczuciem. To małżeństwo musi zakończyć się fiaskiem. On ją rzuci. Po urodzeniu Buby Anita roztyła się, postarzała, wcale o siebie nie dba. Boże drogi! a kiedy ma dbać? Rano gna do szkoły, nabrała tam godzin dodatkowych, łapie każde zastępstwo; później tu, w domu, dwoje małych dzieci, oprać je, zająć się nimi, nakarmić, umyć; a kiedy zeszyty poprawiać, a ten jej pacan palcem nie kiwnie, wraca ze swojej uczelni, rozwala się na tapczanie i Anita jeszcze jego musi obsługiwać. O! Ledwie wszedł, już włączył telewizor i nic go nie obchodzi.

Do kuchni weszła Anita.

Słyszałaś powiedziała od progu znów wszystko podrożeje. Ledwie podrożało komorne, a teraz zapowiadają, że w górę pójdzie gaz i elektryczność.

Tak słyszałam Jadwiga tylko ciężko westchnęła. Uprzedzali o tym. Ma podrożeć o połowę.

Mam lepsze wiadomości nie wiadomo z czego ucieszyła się Anita. Podrożeje o sto procent i więcej. Gaz o 140, a elektryczność o 115 procent. No, ładnie nam dołożą, co?

Jadwiga nic nie powiedziała, zaczęła tylko w myśli szybko liczyć: po ostatniej podwyżce płacą razem 210 tysięcy, więc teraz to będzie więcej niż 400 tysięcy złotych. Jezu! Skąd wziąć tyle pieniędzy? Przy takiej liczbie domowników nie da się nic zaoszczędzić. Trzy telewizory, pralka automatyczna pracuje każdego dnia. Lodówki. Żelazko ciągle w ruchu. I ten piekielny piecyk gazowy. Dzieci trzeba codziennie kąpać, dorośli też muszą się myć, ten pacan Marek dwa razy dziennie bierze prysznic, taki czyścioch, dziadek z babcią pomyślała nie bez pewnej złośliwości to przynajmniej kąpią się raz na tydzień. Joanna traktuje wannę niczym basen i nalewa wody po brzegi. Joanna! Coś ją tknęło. Wczoraj zamknęła się w łazience, a jak Joanna zamyka się w łazience, to potem są kłopoty, może znów się nieszczęśliwie zakochała? Prądu tu nikt nie oszczędza wróciła myślą do rachunków trzeba byłoby przy każdym kontakcie postawić stróża...

Mama! rozległo się wołanie Damiana Tata pyta, kiedy będzie obiad!

Późnym wieczorem, gdy już wszyscy poukładali się do łóżek, gdy telewizory ryczały we wszystkich trzech pokojach, Jadwiga wróciła do kuchni i usiadła przy stole. Miała znów swoją chwilę ciszy, choć za ścianą i drzwiami wcale cicho nie było. Ale zaraz pogaszą telewizory i posną. Można spokojnie porozmyślać.

Skrzypnęła podłoga. Jadwiga podniosła głowę. W drzwiach stała Joanna. Jaka blada! Za dużo się uczy. Ale to dobre dziecko. Najmłodsza. Porządna, pilna, nie było z nią kłopotów. Ładna dziewczyna. Na żadnej wywiadówce nie było wstydu. Z Andrzejem i Anitą to były same kłopoty, Anita ledwo zdała maturę, ledwo dostała się na studium nauczycielskie i to dzięki protekcji. Joasia nie potrzebuje protekcji, Joasia maturę zda na piątkach i bez trudu dostanie się na studia. Już w ósmej klasie postanowiła, że będzie lekarzem. Nareszcie będzie lekarz w rodzinie. Pani doktór Joanna Domagalik. Potem pewnie wyjdzie za mąż i zmieni nazwisko. Pani doktór... Z Heńkiem sobie umarzyli, że Andrzej będzie lekarzem, ale Andrzej przez rok udawał, że chodzi na wykłady. Przez rok oszukiwał rodziców. Mój Boże! Jak bolą takie wspomnienia, jeszcze bolą i czy w ogóle przestaną boleć, czy można mu to wybaczyć.

Uśmiechnęła się do córki, w niej cała nadzieja.

Może chcesz herbatki?

Joaśka nie odpowiedziała. Nerwowymi ruchami otworzyła kredens, potrącając talerze wyciągnęła słoik z dżemem i palcem, palcem wprost ze słoika zaczęła jeść dżem. Joanna... pomyślała w popłochu Jadwiga Joanna... Przypomniała sobie nagle pęczniejące kropelki potu na skroniach córki, podpuchnięte oczy od płaczu. Wczorajsze zamknięcie się w łazience, potem wymiotowała i powiedziała, że to jej parówka zaszkodziła, ale nikomu innemu, a wszyscy jedli, nawet Buba i... nic. Jezus! Maria! Tylko nie to! Przecież zerwała z tym swoim Tomusiem już trzy miesiące temu. Z nikim się dłużej nie spotykała. Chociaż, kto tam ich dziś wie. Czy to trzeba... Odrzuciła od siebie tę myśl.

Popatrzyła na córkę. Brzuch u Joaśki płaski, piersi małe, nie nabrzmiałe... Wydaje mi się pomyślała to pewnie z przepracowania. Matura niedaleko, egzaminy na uczelnię, to wszystko z przepracowania. Nie śpi po nocach, tylko się uczy, kąta swego nie ma, wysiaduje w kuchni. Wszyscy już dawno światła pogasili, a spod drzwi kuchennych sączy się smuga światła. Leżę tak koło Heńka i choć oczy mam zamknięte, to widzę tę smugę światła i ona aż boli mnie pod sercem, ta smuga, bo to jest wyrzut, że moje dziecko nie ma warunków do nauki takich, jak to miewają inne dzieci. I wtedy chciałoby się wstać z łóżka, pójść do kuchni i przytulić Joaśkę, pogłaskać i powiedzieć: Moja dzielna, najlepsza, przyszła pani doktór. Pani doktór Joanna Domagalik.

Myślałam, że umrę przerwała ciszę w kuchni Joanna jeśli natychmiast nie zjem czegoś słodkiego!

Powiedziała to wyzywająco, spojrzała na blednącą matkę i nagle cała jej odwaga, cała ta poza, która miała odgrodzić ją od świata, gdzieś uleciała i strach, i rozpacz odmalowały się na jej ładnej twarzy.

O Jezu! cicho westchnęła Jadwiga, a w myśli dodała: stało się to najgorsze, co przeczuło moje matczyne serce, o Boże!

Tak zawołała nagle Joanna. Jestem w ciąży! Zadarła w górę głowę i niemal krzyknęła: I nie wyobrażajcie sobie, że się wyskrobię! Będę je rodziła, to dziecko, słyszycie!

CDN

Skarby Pentagonu

Szło opornie. Prośby Johnsona zbywano ironiczną drwinką i dwuznacznym uśmieszkiem. Tu cię boli, chłoptasiu, chciałaby dusza do raju, co, figielki ci w głowie, ha, ha, każdego ciągnie do nocnych lokali na Pigalle, tylko że kolejka do nich kilometrowa. Coś mu zaświtało i zagrał inną kartą. Począł dowodzić, że ma na uwadze wyłącznie dobro żony. W Paryżu mogłaby się leczyć w nowoczesnym szpitalu wojskowym. Wtedy jeden z oficerów mu poradził.

Szansa kroi się w punkcie rozdzielczym wojskowej poczty na lotnisku Orly w Paryżu. Tam zawsze potrzebują strażników na zmianę, sprawdzonych przedtem już gdzie indziej.

Istotnie, na poboczu lotniska Orly wznosił się betonowy budynek w kształcie wielkiego jakby bunkra. Był obwiedziony drutem kolczastym do wysokości człowieka. Dwa razy w tygodniu przybywali tu kurierzy. Z rąk zwisał im stalowy łańcuszek, do którego przywiązana była czarna skórzana teczuszka. Przyjmowali ich wartownicy z bronią gotową do strzału. Nadesłane przesyłki rejestrowano i zamykano w komorze o grubych betonowych ścianach. Ten ognioodporny i bezokienny sejf oddzielał od innych pomieszczeń wąski korytarz. Na obu końcach był opatrzony stalowymi drzwiami. Otwierały się jak pancerne kasy tylko przy użyciu szyfru.

Poczta nadchodziła tu wprost z Pentagonu. Rozsyłano ją stąd do Kwatery NATO w Paryżu oraz różnych baz i jednostek armii amerykańskiej rozrzuconych po całej Europie. Był to niejako punkt newralgiczny wojskowych połączeń Ameryki z sojusznikami w Europie.

Johnsonowi dopisał łut szczęścia. W połowie 1961 r. przywdział mundur strażnika tej centrali.

Na wieść o tym Wiktor z trudem powstrzymał okrzyk radości. Coś niebywałego. Jakaż to fantastyczna sposobność zgłębienia najpilniej strzeżonych sekretów Pentagonu. Moskwa nigdy jeszcze nie znalazła się tak blisko wymarzonego celu. Wiktorowi dano z miejsca zielone światło. Koszty operacji nie grają żadnej roli. Ma otwarte konto. Na szalę rzuci się całą technikę szpiegowską. Do odwalenia jest wszak kawał roboty. Byle tylko pękły mury do skarbów Pentagonu.

Wiktor zalecił Johnsonowi, żeby wystarał się o zajęcie wewnątrz centrali. Na warcie niczego nie zdziała. A takiej szansy zmarnować nie wolno. Furtka się rozwarła, gdy rozchorował się jeden z podoficerów w sortowni. Zastąpił go Johnson. Z ważną miną odbierał teraz za biurkiem brązowe w kolorze koperty, opieczętowane niebieskim i czerwonym lakiem. Nosiły na grzbietach dość często niezrozumiałe napisy.

To szyfrówka tłumaczył Wiktor dowód, że ma się do czynienia z tajnymi dokumentami.

Podał Johnsonowi blaszaną puszkę wypełnioną gęstą masą o barwie naturalnego wosku.

Niech pan porobi tym odciski klucza do tych pierwszych drzwi w korytarzu. Żadnych pochopnych kroków, cierpliwość jest potrzebna. Na dogodny moment czeka się w takich wypadkach nawet cały miesiąc.

Od tego dnia Johnson nie spuszczał wzroku z dyżurnego oficera. Śledził ukradkiem każdy jego ruch. Był przekonany, że wcześniej lub później dopuści się błędu i pomyłki. W rzeczy samej, po hucznej niedzieli oficer zjawił się w poniedziałek na służbę blady i rozdygotany. Opadł na krzesło ciężko jak worek mąki. Co rusz ocierał pot z czoła i zwilżał językiem spieczone wargi. Miał po przepiciu potwornego kaca. Naraz zrobiło mu się słabo. Wybiegł, cicho jęcząc, do ubikacji, żeby zwymiotować. No i zapomniał o kluczu w zamku. Nie wyjął go, a było to karygodne niedopatrzenie.

Johnson zerwał się na nogi, wyrwał klucz i przyłożył pospiesznie do wosku. Klucz oczyścił i wpuścił z powrotem do zamka. Rozpierała go radość. Udało się, wziął pierwszą przeszkodę. Cieszył się przedwcześnie. Wiktor powiadomił go z ponurą miną, że odciski nie mają dostatecznie ostrych konturów. Były do niczego. Trudna rada, trzeba wypatrywać nowej okazji.

Przytrafiła się po paru dopiero tygodniach. Oficer gdzieś wyszedł i z roztargnienia znów zostawił klucz w zamku. Tym razem odciski się udały. Wkrótce Wiktor doręczył Johnsonowi nowiutki klucz sfabrykowany przez techników w Moskwie. Pasował idealnie. A co z szyfrem? Jak go złamać? Johnson usiłował podpatrzeć jak oficer manipuluje gałką przy zamku. Odnotowywał w pamięci każde drgnięcie oficerskiej ręki.

Wtem kapitan odwrócił się ze złością.

Nie lubię, jak ktoś zagląda mi przez plecy. Żeby to było ostatni raz, zrozumiano?

Z końcem czerwca wprowadzono nowy szyfr. Tak nakazywał regulamin. Oficer, który właśnie wrócił z urlopu szyfru nie znał i poczuł się zagubiony. Zadzwonił do zmiennika z prośbą o podanie mu nowej kombinacji cyfr i literek. Kolega na drugim końcu linii nie chciał z początku o tym słyszeć. Nie, takich spraw nie załatwia się przez telefon. Mógłby za to zdrowo beknąć. Pod wpływem usilnych nalegań zmiękł w końcu i ustąpił. Oficer zanotował podany mu szyfr na skrawku papieru. Po czym przepisał do swego notesu, a świstek cisnął do kosza na śmieci. Kiedy wyszedł na obiad, Johnson odgrzebał karteczkę i wsunął do kieszeni.

Wiktor gorąco mu pogratulował, dobra robota, tylko tak dalej.

Usiadł z Johnsonem w kawiarni przy stoliku pod oknem, żeby mieć dobry widok na ulicę.

Pora na kolejne posunięcie wyrzekł, zwilżywszy gardło pienistym piwem.

Johnson skinął głową, tak, już myślał o tym.

Zgłoszę się na dyżur od szóstej wieczorem w sobotę do szóstej rano w niedzielę. Pełni go wtedy w centrali tylko jeden właśnie wartownik, a reszta personelu ma weekend. Chętnych do dyżurowania w sobotę prawie nie ma, choć w zamian dostaje się dwa wolne dni w tygodniu.

Nazajutrz zgłosił się u majora.

Chciałbym pełnić przez parę miesięcy dyżury na nocnej zmianie w sobotę meldował.

Zdziwiony major spojrzał spod oka.

A to dlaczego? O co tu chodzi?

Idzie o chorobę żony. Za każdy dyżur dostanę dwa dni wolne. Będę mógł wtedy częściej odprowadzać żonę do psychiatry.

Major potarł w zamyśleniu podbródek.

Ach tak, choroba, rozumiem, niech więc będzie. Sprawa załatwiona.

Już podczas pierwszego dyżuru Johnson sprawdził klucz, posługując się szyfrem. Zamek puścił z lekkim świstem. Dalszą barierą do wzięcia były teraz stalowe drzwi betonowej komory na drugim końcu korytarza. Jak ją przeskoczyć? Klucz do nich był ten sam, ale szyfr całkiem inny. Prawdopodobnie jeszcze bardziej skomplikowany. Przeleciał jeden miesiąc i drugi. Nic się nie działo. Aż tu pewnego dnia w maleńkiej kawiarence przy Moulin Rouge Wiktor wręczył Johnsonowi płaski aparacik wielkości pudełka od zapałek. Błonę miał już wkręconą.

Tym aparatem porobi pan zdjęcia tego drugiego zamku. Muszą być zrobione pod coraz to innym kątem.

Naświetloną błonę odebrał Wiktor na umówionej ławce w Lasku Bulońskim.

Do zobaczenia za dwa tygodnie w tym samym miejscu i tej samej porze szybko się zmył.

Przybył oznaczonego dnia do Lasku w towarzystwie mężczyzny, którego Johnson nie znał. Był nim Feliks Iwanow. Młody, bystry i wszechstronnie wykształcony. Uchodził za nową gwiazdę na firmamencie KGB. Nosił dobrze skrojone garnitury. Bez trudu przyswoił sobie w Paryżu maniery światowca. Oświadczył, że operacja wchodzi w nową fazę. On nią pokieruje. Zawiózł Johnsona do jednej z kafejek na Montmartre. Przy stoliku, obejrzawszy się szybko przez ramię, dobył z portfela maleńki kartonik.

Niestety, porobione zdjęcia nie na wiele się zdały. Nasi technicy wpadli na inne rozwiązania. Proszę spojrzeć, to schemat miniaturowego rentgena z podłużnym stożkiem. Ten stożek wepchnie pan w zamku do dziurki od klucza i naciśnie ten oto czerwony guziczek u góry. Rentgen porobi zdjęcia zamku automatycznie, a po upływie trzydziestu minut wyłączy się sam. Daje pewną radiację. Więc powinien pan przenieść się na te pół godziny do innego pomieszczenia. Na podstawie tych rentgenowskich prześwietleń nasi technicy złamią szyfr bez większych trudności.

Wręczył Johnsonowi karteczkę.

Z tej instrukcji dowie się pan kiedy i gdzie rentgen odebrać. Będzie się składał z dwóch części w plastykowej obudowie. Zmontuje go pan z łatwością. Pomoże panu instrukcja.

Rentgen wykonał swoją robotę bez pudła, tak że szyfr zamku do betonowej komory Feliks przekazał Johnsonowi już po kilkunastu dniach. Włączył silnik, przebił się przez korki w śródmieściu, minął lotnisko Orly i zatrzymał volkswagena przy bocznej drodze koło wiaduktu. Dał Johnsonowi znak ręką.

Jutro, dokładnie kwadrans po północy podrzuci mi pan tutaj pierwsze koperty z dokumentami. Proszę się rozejrzeć i to miejsce dobrze sobie zapamiętać.

Po kilku minutach przystanął pod murem cmentarza.

Dokumenty oddam panu w tym punkcie dokładnie o trzeciej piętnaście w nocy.

Wydobył z bagażnika firmową torbę z napisem Air France.

Posłuży się pan tą właśnie torbą.

Nagle Johnson uświadomił sobie rozmiary czyhającego nań niebezpieczeństwa. Jazda pod wiadukt, a potem do cmentarza potrwa z dziesięć minut. Przez ten czas nikogo w centrali nie będzie. A jeśli ktoś wtedy przedzwoni? Czym wytłumaczy swą nieobecność? Rany boskie, ale wdepnął, to istna ruletka. Wyjdzie albo nie wyjdzie, przegrana zaś to kilkanaście lat pudła o zaostrzonym rygorze.

Czy jest jakaś droga odwrotu w razie wpadki? zapytał, lekko się czerwieniąc.

Feliks skinął z uznaniem głową.

Pytanie jest na czasie, czekałem na nie. Jest sensowne i zrozumiałe.

Włączył stacyjkę, wrzucił bieg i nacisnął pedał gazu. Pociągnął osiemdziesiątką w kierunku St-Germain. Wysiadł w pobliżu dużej farmy i podszedł do rozłożystego dębu przy drodze. Rozejrzał się i wskazał na duży kamień leżący pod drzewem.

Ten kamień jest wydrążony. Z boku ma szczelinę, gdy wepchnie się w nią scyzoryk, kamień rozejdzie się na dwie połówki. W środku znajdzie pan kanadyjski paszport, francuskie banknoty oraz jeden dolar z instrukcją. W razie czego zabierze pan cały ten kram i pomknie do Brukseli. Tam zatrzyma się pan przed wskazaną w instrukcji restauracją. Po danym mi przez pana sygnale, przy wejściu do restauracji będzie codziennie czekał o dwunastej nasz człowiek z ÔTimesemß w ręku. Zaopiekuje się panem. Zapomniałbym, wyjmie pan przedtem swój dolar, a nasz człowiek okaże się podobnym.

Wsiadł do wozu i włączył bieg.

Proszę nastawić zegarek dokładnie według radia dorzucił W takiej operacji wszystko musi być zgrane ze sobą co do sekundy.

W międzyczasie przybyła do Paryża z Moskwy via Algier grupa radzieckich techników. Zamieszkała w swej ambasadzie. Czekała ich praca niecodzienna. W ciągu jednej krótkiej godziny mieli z doręczonych im dokumentów porobić fotokopie, a rozerwane koperty tak potem mistrzowsko zalakować, żeby nikt nie wykrył śladu jakiejkolwiek manipulacji.

O północy z soboty na niedzielę Johnson otworzył pierwsze stalowe drzwi i korytarzem przedostał się do drugich. Wepchnął klucz do zamku, przesuwając gałkę w lewo i prawo zgodnie z dostarczonym mu szyfrem. Wreszcie zatrzymał gałkę na siedemnastce i ciężkie, masywne odrzwia uchyliły się na całą szerokość. W niskiej komorze rozświetlonej lampą u sufitu spoczywało na żelaznej półce kilka zapieczętowanych kopert. Była to kurierska poczta z poprzedniego dnia. Wrzucił koperty do torby i drzwi za sobą zamknął.

Przy swym wozie rozejrzał się na wszystkie strony spocony jak mysz kościelna. Może gdzieś tam ktoś z obstawy lotniska obserwuje go z ukrycia przez lunetę? O tej porze nikt jeszcze tej centrali nie opuszczał. Więc dalej, każda sekunda jest cenna, a on grzebie się jak wszyscy diabli. Te cholerne nerwy. Musi chyba sięgnąć po jakieś prochy. Spojrzał na zegarek. Ma jeszcze pięć minut. Czy zdąży? Co za przeklęta robota. W każdej chwili ktoś może go ustrzelić reflektorem, przyszpilić jak zdechłego owada. Stoi tu niby na świeczniku.

Otarł pot z karku i włączył silnik.

Stanął przy wiadukcie z wybiciem kwadrans po dwunastej. I zaraz przyszybował volkswagen. Siedzący za jego kierownicą Feliks raptownie przyhamował, pochwycił w przelocie rzuconą mu torbę i nie zatrzymując auta pomknął przed siebie. O trzeciej piętnaście Johnson nadjechał z dużą prędkością pod cmentarny mur. Feliks już czekał na wygaszonych światłach. Cisnął Johnsonowi torbę z papierami, podziękował ruchem dłoni i ruszył z drugiego od razu biegu.

Tę operację powtórzono kilkanaście jeszcze razy, nic w scenariuszu nie zmieniając. Przed Wielkanocą w ustronnym miejscu na przedmieściu Feliks przekazał Johnsonowi ustne podziękowanie od szefa KGB w Moskwie za ogromny wkład w umocnienie światowego pokoju. Nagle stanął na baczność.

Poza tym przyznano panu, sierżancie, stopień komendanta armii radzieckiej.

Johnson bezwiednie też się wyprężył. Oczy mu rozbłysły. Nareszcie zdobył oficerską rangę. Stał się kimś. A droga dalszych awansów szeroko przed nim otwarta. To Rosjanie poznali się na nim. Ani by mu przez myśl nie przeszło, że nominacja jest fikcją i chytrym zagraniem Feliksa na jego chorobliwej próżności. Stopień komendanta armii w radzieckim wojsku w ogóle nie istniał.

No i leci osobna gratyfikacja Feliks wcisnął Johnsonowi do ręki grubachną nader kopertę Wesołych Świąt, komendancie.

Radziecki wywiad triumfował. Dokopał się bajecznego wprost źródła skąd płynął nieprzerwany strumień bezcennych informacji. Sam Chruszczow studiował podsunięte mu w tłumaczeniu materiały do późnych godzin nocnych. Zapoznali się z nimi członkowie Biura Politycznego. Były prawdziwym skarbem. Wiedziano już w Moskwie, gdzie stacjonuje jaka amerykańska jednostka, w jakich bazach rozmieszczono głowice jądrowe, w których bunkrach pochowano broń chemiczną, jakie jest zadanie atomowych okrętów podwodnych podczas działań wojennych. Słowem, Pentagon odkrył wszystkie swoje karty.

Z początkiem maja 1963 r. Johnson znów dotarł do betonowej komory. Uniósł ze sobą dwie tylko koperty. Był już obłatany, wybrał najwartościowsze. Nadeszły z Pentagonu wieczorem. Kwadrans po dwunastej papiery odebrał Feliks i przybył potem o trzeciej piętnaście do umówionego punktu przy cmentarzu. Cóż to, śladu po Johnsonie. Jak okiem sięgnąć żywego ducha.

Wziął głęboki oddech, czort wazmi, czyżby Johnsonowi nawaliło auto? Może go przyskrzyniono. Ci brutale znokautują go już pierwszego dnia. Będą go mieć na deskach po wstępnym pewnie przesłuchaniu. Poleży na łopatkach, a oni wycisną z niego wszystko jak sok z cytryny. Johnson mocnym charakterem nie grzeszy. A oni mają sposoby. Złamią tego sierżancika jak zapałeczkę.

Odczekał na cmentarzu przeszło godzinę. Wkoło panowała nadal martwa cisza. Dolatywał tylko odległy pomruk wzbijających się w górę odrzutowców. Ni auta wkoło, ni człowieka. Pal licho, mruknął, niech się dzieje, co chce, zaryzykuje. Ruszył w kierunku lotniska. Wóz zaparkował przed wjazdem do centrali. I od razu spadł mu kamień z serca. Obok bramy stał używany mercedes Johnsona. Rzucił przez drut torbę na maskę samochodu i pospiesznie odjechał.

Johnson zerwał się na równe nogi nad ranem. Zlany zimnym potem sprawdził godzinę. Przeszedł go zimny dreszcz, Boże, co on narobił. Dochodziła piąta, niedługo zjawi się zmiennik, a oficer szybko wykryje brak dokumentów. Nie pozostało nic innego jak wiać do Brukseli. Do Feliksa zadzwoni lepiej z budki w mieście. Ale się zbłaźnił. Żeby tak głupio wpaść. Wyskoczył na dziedziniec. I z wrażenia znieruchomiał. Na przedniej masce jego wozu jaśniała jakby nigdy nic biała torba z napisem Air-France.

Nazajutrz usiłował przekonać Feliksa, że ubiegłej nocy za nic w świecie nie mógł centrali opuścić. Zadzwonił kapitan i polecił, żeby lokal szybko uporządkować, bo lada moment może na inspekcję przybyć major. Czekał długo i nic. Kapitan znów zadzwonił. Ma być wciąż w pogotowiu, choć wygląda na to, że inspekcję odwołano. Cicho westchnął, był przykuty i zablokowany, nie mógł zrobić kroku.

Nie da się opowiedzieć, co przeżyłem przez te godziny. To nie na moje nerwy.

To wszystko? chłodno zapytał Feliks.

A co ma być jeszcze? Czy nie starczy?

Feliks wysączył resztkę wermutu, zajrzał przez ramię do tyłu i podniósł się z głęboką zmarszczką na czole.

Muszę o tym zajściu złożyć meldunek.

Opowiastce Johnsona nie dał wiary. Moskwa również orzekła, że to głodne kawałki. Może Johnson coś ukartował? Pewne jest, że łgał jak najęty. Ale dlaczego? Kto za tym stoi? Dopóki się tego nie wyświetli, należy zerwać z nim wszelką łączność. Operację trzeba odwołać. Decyzja jest ostateczna.

Jan Bąbiński
cdn